



N^o 387.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 23 lutego 1867 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM XV.

TREŚĆ NUMERU. Obrazy rozlosowane przez warszawskie Towarzystwo zachęty sztuk pięknych (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Ze świata muzycznego. — Przegląd polityki zagranicznej. — Józef Supiński (dokończenie). — Kościół w Dębnie (drzeworyt). — Charakterystyka lasek (4 drzeworyty). Dokończenie. — Przegląd piśmienniczy (dalszy ciąg). — Z Tyflisu pod Ararat (dokończenie). — Jabłonowo (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Najnowsze odkrycia wynalazki i spostrzeżenia naukowe (dalszy ciąg). — Przegląd teatralny. — Gawędy ekonomiczne. — Pierwsza Pacjentka. (Powieść) dalszy ciąg. — Helena. (Powieść) koniec tomu pierwszego.

OBRAZY ROZŁOSOWANE

przez warszawskie Towarzystwo zachęty sztuk pięknych
W KOŃCU R. 1866.

Coraz większe zajęcie jakie Wystawa krajowa sztuk pięknych obudza pomiędzy ukształconszymi

rzelisku. Po nim nastąpią: „Noc“ Marszewskiego, „Snycerz wiejski“ Kotsisa; „Kwestarze“ Löfflera i „Jarmark w Habelswerde“ Kossaka.

Jeżeli tym sposobem, oprócz rozszerzenia w masach zamiłowania sztuki, przyłożymy się jeszcze choć w drobnej cząsteczce do powodzenia naszego

Kronika tygodniowa.

Od pewnego czasu utworzyło się w Warszawie nowego rodzaju zyskowne rzemiosło. Zależy ono na wykradaniu psów i oddawaniu ich, skoro w pismach



Biwak wojsk szwedzkich na pogorzelsku. (Rysował Henryk Pillati, podług własnego obrazu olejnego, sfotografowanego w zakładzie Karola Beyera). Obraz ten, zakupiony przez Warszawskie Towarzystwo zachęty sztuk pięknych do rozlosowania, wygrał p. F. Kurowski w Żytomiérzu.

warstwami publiczności, podało nam myśl reprodukcji znakomitszych obrazów przez Towarzystwo zakupionych, a następnie między posiadaczów akcyj rozlosowanych. W urzeczywistnieniu tej myśli, dajemy dziś kopią drzeworytniczą obrazu olejnego Henryka Pillatego: „Biwak wojsk szwedzkich na pogo-

Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, dając poznać publiczności w sposób dotykalny, jak znakomitych utworów pędzla mogą się stać posiadaczami, zostawszy członkami tegoż Towarzystwa, — cel nasz w zupełności będzie osiągnięty.

publicznych ukaże się ogłoszenie o psie zaginionym, z oznaczeniem nagrody dla znalazcy. Nagrody te wynoszą pięć, dziesięć rubli, a czasem i więcej. Idzie więc o to, żeby wiedzieć ile przypuszczalnie za znalezienie psa oznaczonym będzie i zastosować się do tego. Bo tutaj ani piękność i rasowość zwierzęcia,

ani nawet zamożność właściciela nie stanowią pewnej normy; cena do psa przywiązywana jest prawdziwym *praetium affectionis*, a kobiety, szczególnie w pewnym już wieku i osamotnione, tak się przywiązują do tych zwierząt, że nie sprzedałyby ich za żadną cenę, a w razie zagubienia albo śmierci, oddają się prawdziwej rozpacz. Otóż wysledzenie związków sercowych łączących psa z jego właścicielem lub właścicielką, jest głównym i najważniejszym zadaniem przemysłowców o których mowa. Używają oni do tego rozmaitych sposobów, kiedy zaś już osiągną przekonanie, że pies jest w jakim domu prawdziwie drogą i niezbędną osobą, rozpoczynają kampanię, która często trwa bardzo długo, bo takie wypieszczone pieski rzadko kiedy bywają samopas wypuszczone. Na kradzież jednak dość jednej chwili; pod tym względem sprawność złodziei jest nieporównaną i z najwprawniejszych nawet oprawcami mogliby iść o lepsze. Samo z siebie się rozumie, że o psie skradzionym mają wielkie staranie, żeby go w dobrym stanie wrócić właścicielowi, od tego bowiem wiele zależy. Kuryery na tym zyskują, złodzieje ci bowiem są najpilniejszymi ich prenumeratorem. A trzeba widzieć z jaką dobroduszną i zaćną miną ukazują się pod wskazanym w ogłoszeniu adresem, niosąc na ręku gagatka pięknie wymytego i uczesane, jak go gładzą i pieczą, jak ubolewają nad przykrością, którą właściciel musiał ponieść, z powodu straty tak pięknego zwierzęcia! A jakie oni o psie mieli staranie, wiedzieli bowiem od razu, że to wypieszczone zwierzę i przyzwyczajone do wygódek! Co to za serce w tym psie, jak on tęsknił po ukochanej pani swojej, nie chciał jeść, płakał nieledwie! Doprawdy, taki pies to skarb. Znalazca albo znalazczyni (najczęściej to kobieta) zachowaliby go chętnie przy sobie, odejmując sobie od ust dla wyżywienia go i płacąc nawet rubla podatku, ale poczciwość przedewszystkiem, a ta poczciwość nakazuje im konieczne zwrot cudzej własności. Nagroda zaś słusznie im się należy za wyżywienie psa i starania koło niego podjęte. Gdyby nie to, nie wzięliby żadnego wynagrodzenia, boć to przecie tylko dopełnienie obowiązku.

Taka wymowa odnosi zwykle zbawienny skutek, który się objawia jakim piętym dodatkiem do oznaczonej w ogłoszeniu nagrody. A złodziej odchodzi zadowolony z zarobku, i niebawem rozpoczyna nowe polowanie.

* * *

W tych dniach przez najwyższą sądową magistraturę rozstrzygniętą została sprawa ważna, nietyle ze względów materialnych, ile dla samej doniosłości przedmiotu o który spór się toczył. Rzeczą szła o to, czy według brzmienia konwencji przez Rosyją z Francją i Belgią zawartych, przysługuje nam prawo dopełniania przekładów z francuzkiego języka, bez opłacania autorom i wydawcom francuzkim praw tak zwanych autorskich. Spór toczył się pomiędzy Gazetą Polską a Kłosami, o przekład ostatniej powieści Wiktora Hugo, Pracownicy Morza; redakcja bowiem Gazety Polskiej, zapłaciwszy wydawcom belgijskim 600 franków za upoważnienie do tłumaczenia tej powieści, zaprzeczała redakcji Kłosów prawa publikowania drugiego przekładu. Przy tej sposobności toczyły się długie rozprawy o prawie własności autorskiej, które w kodeksie u nas obowiązującym nie ma dotąd stałego określenia. Rządzący senat, opierając się na motywach, których dla braku miejsca rozbiierać tu nie możemy, uznał zażądanie Gazety Polskiej za bezzasadne i skargę jej oddalił.

* * *

...Nie chciało mi się jeść,
Nie chciało mi się pić,
Nie chciało z śmieśnych śmiać,
Nie chciało mi się żyć,
Tylko spać... ciągle spać.
O! spać, spać, spać bez ustanku,
Od wieczora do poranku,
Od poranku aż do nocy,
Gdyby w ludzkiej było mocy,
Jabym zamknął powieki,
Przespał dnie, godziny, wieki!

Nie wiem czy wiernie przytaczam ten ustęp

z Poganki Gabryeli, przytoczenie to bowiem czynię z pamięci, ale to pewna, że trudno wymowniej wypowiedzieć myśl zapomnienia o życiu i nędzach których w niem doświadczamy. Bo szczęście i boleść, radości i smutki, każda ciemna i światła strona życia nużą biędną ludzką istotę; trzeba jej zapomnienia, wypoczynku, nabrania sił nowych, które sen tylko daje. Otóż teorią tej stacyi granicznej pomiędzy życiem a śmiercią wybornie nam skrzęślił profesor Szokalski w trzech ostatnich swoich odczytach. Trudno w treści nawet powtórzyć ten piękny i nauczający wykład, w którym prelegent nagromadził tyle zajmujących wiadomości. To pewna, że sama nauka nie wypowiedziała jeszcze ostatniego słowa o tej tak koniecznej funkcji żywotnej, która w rozlicznych a różnobarwnych okazuje nam się objawach. Byli filozofowie starożytni, którzy całe życie nasze snem tylko być mienili, a wyznawcy Budy twierdzą, że wszystko co się tu na ziemi dzieje jest tylko snem boga; ale bóstwo się obudzi i sen zniknie jak mara. To pewna że człowiekowi umierającemu może życie wydaje się tak potrosze, gdy całość jego obejmie ostatniem smutnem spojrzaniem po za siebie.

Ale w śnie leży także i tajemnicza jakaś siła, do której ludzie po wsze czasy mistyczne przywiązywali znaczenie. Biblia wspomina nam o snach proroczych i tłumaczeniu ich znaczenia, a w dziełach wielu dawnych pisarzy znajdujemy dowody, że ta wiara głęboko była u starożytnych zakorzeniona. Przechowała się ona aż do ostatnich czasów, choć proroctwa po większej części znalazły już tylko schronienie w tak zwanych sennikach, które w błogich czasach kwitnienia loteryi liczbowej u nas wielu ludzi doprowadzały do ruiny. Wiara jednak w sny nie jest tylko wyłącznym prostym i nieukształconym ludności przywilejem. Pomiędzy kobietami szczególnie jest wiele takich, które nie śmiąc się głośno do tego przyznawać, wielką do snów przywiązują wagę.

Magnetyzm zwierzęcy i idące w ślad za nim jasnowidzenie, pozostając w szeregu wieków tajemnicą niektórych tylko ludzi, przy końcu już zeszłego i w bieżącym stuleciu wdzierają się w ogólną dziedzinę wiedzy ludzkiej i dopominają się gwałtem o prawo oddzielnej nauki, na właściwych zasadach opartej. I gdyby nie szarlatanerya, przyczepiająca się często do objawów tego rodzaju, magnetyzm zwierzęcy mógłby już dzisiaj zostać ujęty w karby ścisłego badania, a nawet w niektórych razach do ciekawych posłużyć doświadczeń. Dotychczas jednak bezładne po większej części i pojedyncze usiłowania do żadnego nie doprowadziły rezultatu, a nawet nie dozwoliły ująć w porządną systemat rozpiętniętych zdań o działaniu tej tajemniczej siły. Przed kilkoma laty sen hypnotyczny, należący niejako do jednej z uspienien magnetycznym rodziny, budził wrazenie nawet pomiędzy ludźmi nauki; Ameryka jednak o wiele w tych rzeczach wyprzedziła Europę, tam bowiem doktor Philips, twórca elektrobiologii, ujawniwszy objawy hypnotyzmu w osobny systemat, zaleca ich zastosowanie głównie w chorobach umysłowych. Szczupły rozmiar wykładu doktora Szokalskiego nie dozwolił mu rozszerzyć się tyle, ileby mógł lub chciał może, o tych różnych zajmujących objawach wiedzy ludzkiej lub prostego tylko obłędu; zawsze jednak wrazenie jakie wynieśli słuchacze będzie chlubnym świadectwem jasności i przystępności wymowy szanownego profesora.

* * *

Henryk Litolf, od kilku dni bawi w Warszawie. Muzyk to rozgłośnej sławy, wysoko ceniony przez wszystkich znakomitszych krytyków europejskich, którzy przyznając mu pierwszorzędny talent wykonawczy, kompozycjom jego muzycznym poważnego stylu, wielką naznaczają wartość. Dwadzieścia kilka lat temu Henryk Litolf bawił już w Warszawie; zajmował nawet przez pewien czas posadę dyrektora tutejszej orkiestry, co znakomicie wpłynęło na wykształcenie muzyczne niektórych jej członków. Przedłużony jego tu pobyt podniósł muzykalność mieszkańców naszego miasta, a koncerta organizowane przez niego w salach reutowych, oswajały Warszawian z utworami muzyki poważnej, która w owym czasie mało bardzo liczyła tu jeszcze zwolenników.

Udając się do Petersburga, wezwany przez ta-

meczne Towarzystwo filharmonijne dla przewodniczenia olbrzymim jego koncertom, Litolf nie chciał opuścić Warszawy, z której tyle miłych pozostało mu wspomnień, bez odnowienia muzycznych swych stosunków z tutejszą publicznością. Zapowiedziany na jutro poranek muzyczny, zaznajomi młodsze pokolenie lubowników z tą grą wzorową, tak wysoko przez Niemców i Francuzów cenioną, a starszym odżywi pamięć wrażeń niegdyś doznawanych. Czujemy się jeszcze obowiązani tu dodać, że Litolf, zwiędziwszy nasz Instytut muzyczny, bardzo po chlebnie wyraził się o postępie jego wychowawców i wychowanek, niektórym z nich przepowiadając świetną przyszłość, a głównie oddając pochwały grze p. Górskiego, młodego skrzypka, ucznia Instytutu, który po kilka już razy dał się z powodzeniem słyszeć na publicznych koncertach w Warszawie. Portret Litolfa, zdjęty z fotografii Mieczkowskiego, umieścimy wkrótce w piśmie naszym. Nadmieniamy, że wraz z Litolfem bawi tutaj pan Broussetet, były jego uczeń, fortepianista i kompozytor wielkich zdolności; korzystając bowiem z towarzystwa mistrza, chciał on się bliżej zapoznać ze stronami, które może za parę lat samemu zwiędzić mu przyjdzie, przy dokonaniu zamierzonej zdawna artystycznej podróży do znakomitszych miast europejskich.

* * *

Korzystamy z bytności u nas Litolfa, żeby przytoczyć tu nadesłane nam przez niego zdanie o przedstawionej w tych dniach w Wielkim teatrze operze p. Grossmana p. t. Rybak z Palermo.

„Francuzi w ocenienu dzieł muzycznych używają często wyrażenia, że ten lub ów utwór jest *dowcipnie zrobiony* (spirituellement fait, tłumaczenie dosłowne). Wyrażenie to śmiało zastosować można do opery świeżo na scenie warszawskiej przedstawionej. Rzeczywiście, całość tej opery wdzięcznie ułożoną została z wielu pięknych ustępów, a z nich niektóre, jak np. barkarolę w 1-m akcie, możnaby do małych arcydzieł policzyć. Utwór cały odznacza się instrumentacją bez zarzutu i byłoby do życzenia, żeby pan Grossman obdarzył wkrótce publiczność warszawską inną jaką operą, bo tylko ciągłą pracą i wprawie, a głównie oglądaniu dzieł swoich przedstawionych na scenie, a tym sposobem zdawaniu sobie sprawy z ich przymiotów i niedostatków, można nabyć doświadczenia dramatycznego. Zdaniem mojem pan Grossman powinien być zadowolony z tego pierwszego swojego kroku w dziedzinie kompozytorskiej. Korzystam z tej sposobności, żeby oddać sprawiedliwość i orkiestrze warszawskiej, która w gronie swoim liczy kilku artystów odznaczających się talentem, a pomiędzy nimi takich, którymby się nawet orkiestry teatrów francuzkich pochłubić mogły.“

Henryk Litolf.

* * *

Dawno przyobiecane jednokonne karétki zaczęły już podobno krążyć po ulicach Warszawy, a ulepszenie to bardzo będzie na dobre, jeżeli cena za pojedyncze kursa tych karétek oznaczona, okaże się niewyższą od zapłaty dzisiaj przez zwykłe dorózki pobięranęj. Wszakże prosty rozsądek uczy, że co jeden to nie dwa; wyżywienie jednego konia mniej daleko za sobą pociąga kosztów, aniżeli utrzymanie na stajni pary tych zwierząt, w cenie zaś wybudowania powozu czy karétki, oraz wszelkich przyborach do tego użytych, niewielka zachodzi różnica. W spominamy zaś o tém dlatego mianowicie, iż chodzą wieści że przedsiębiorcy, uważając karétki przez siebie na miasto wypuszczane za powozy zbyt kosztowne, nałożyli nanie wyższą od zwyczajnych kursów dorózkarskich opłatę. Otóż przypominamy tym panom, że spekulacja wtenczas tylko jest dobrą, jeżeli na czasie potrafi zaspokoić rzeczywiste potrzeby publiczności; nam zaś potrzeba pomnożenia komunikacji miejskiej, głównie jednak o taniostwo tu idzie, bo nawet dzisiejsze ceny zabłoconych i odrapanych dorózek jakie posiadamy, odsuszają wielu takich, którzy chcieliby z nich korzystać. Niechaj więc przedsiębiorcy karétek w tenże sam błąd nie popadną.

RZEKA.

U źródła rzeki samotną stałem
I na dziecinę lśniącą patrzałem;
W skalnej kolébecie spoczęła mała,
A matka-chmura ją wyżywiła.

Boża dziecina w gęstwinie rośnie,
Marzeniem szemrze w młodości wiosnie;
W kwiecistém łonie płynąc w zacisze
Kołysze słońce, gwiazdy kołysze.

Tęskno już młodej w ponurym boru,
Ciasno śród ściany skalnego dworu;
Za światłem goni przestrzeni cheiwa,
W urwiska skacze i w świat się zrywa.

„Za mną w świat, za mną! na zdroje woła,
Tu piasek chłonie, tu skwar dokoła:
Za mną, o bracia! w szerokie błonie,
Po kwiatkach pójdzim w ojcowe tonie.“

Z szumem i pryskiem, wezwaniu rada,
Zbiegła dęszczowych synów gromada;
By w sercu matki zbiera się fala,
Lasy i skały w pochodzie zwała.

Zwycięzko płynie w dalekie błonie,
Gdzie wszystko przed nią uchyla skronie;
Żywi oddechem omdlałe zboże,
Przerzyna kraje i biegnie w morze.

A za nią spieszą okręty, ludzie,
I śpiew ją uczył w melodyi cudzie;
Bogate miasta przy niej osiadły,
A kwiaty do nóg wieńcami spadły.

Ale biegnącej wstrzymać nie mogą;
Złociste zamki mijając drogą,
Spiesz, o spiesz, niepowściągniona
I w łono ojca wpadając — kona...

Ze świata muzycznego.

Rybak z Palermo. — Pan Frieman.

Pan Grossman, zapewne tymczasowo, wystawił swoją operę w języku włoskim. „Il pescatore di Palermo“ inaczej długoby może czekał na zaszczyt ukazania się publiczności, która go na pierwszym przedstawieniu oklaskami powitała. I tak się też powitać godziło operę oryginalną. To *rara avis*, kruk biały, a co więcej, utwór trzyaktowy. Od czasów *Strasznej dworu* nie pojawiło się nic takiego.

Libretto napisał p. Chęciński. Opowiemy treść jego pokrótce.

Księżę w Palermo daje huczny, kostiumowy bal. Carlo rybak, w rzędzie stróżów pałacowych pilnuje wrót. Ma on kochankę *Ninette*, poczciwą córkę rybaka, którą kocha całym sercem... Księżę w chwili pustoty, namówiwszy go do przebrania się we własne domino, posyła go na swoje salony, a sam spotkawszy *Ninette*, wchodzi z nią w przypadkową znajomość. Bierze go ona za swego Carla, który tymczasem w książęcych apartamentach jest przyczyną różnych pomyłek. Oświadczają mu się np. jakaś lukrecyowa margrabina, a hrabia Alonzo płaci mu dług honorowy... Księżę tymczasem prowadzi dalej swój żart, a dla niepoznaki, ubliża głośno samemu sobie. To sprowadza nań zbiorów, przed którymi zrezygnuje się kryje. Wreszcie kończy się komedia, ale małym dramatem. Stęskniony do *Ninette*, Carlo wraca... i o biada! spotyka ją z księciem, wykradającym całusa. Rzecz naturalna, że *Ninetta* jest wiarołomną... a co gorsza, po przybraniu własnej

skóry, biedny rybak dostaje się w ręce zbiorów, którzy go, sądząc po sukni, za winnego obraży majestatu uznają. Na szczęście księżę go ułaskawia i wyjaśnia pomyłkę *Ninette*. Carlo jest najszczęśliwszym z ludzi, a podarunek księcia uczyni go w krótko najszczęśliwszym z mężów...

Muzyka miała tu szerokie pole popisu. Od barkaroli, aż do dramatycznej arii, od uwertury do menueta, wszystko się tam zawarło. Pan Grossman miał robotę nie lada. Zaczął ją, jak zwykle, od uwertury, która, jakkolwiek niezbudowana na zasadach klasycznej formy i ztąd niejasna trochę, przecież potrafiła już wykazać zręczność kompozytora i umiejętność instrumentowania. Pierwszy akt zaczyna się chórem, po którym w drugiej scenie przychodzi barkarola Carla. Jest to najszczęśliwszy numer z całej opery. W drugim akcie zwraca uwagę menuet, w trzecim przegrywka i chór zbiorów. Do lepszych także ustępów zaliczyć można śpiew Lorenza przy puharze.

Mówiąc o całej operze, przedewszystkiem uprzedzić musimy, że wzorem dla pana Grossmana były utwory włoskie. Ztąd zbiorowość na ostatnim planie, a rzecz istotna w melodyi. Drugi plan łatwo poznać po dodatkowym towarzyszeniu orkiestry. Śpiew jest tu wszystkiem. Tymczasem melodyi samej niejednoby zarzucić się dało. Dużo tam pomysłów, lecz wiele też ustępów nieoryginalnych.

Pomimo to, oceniając ogół, przyznać należy kompozytorowi talent, który przy szczęśliwszych pomysłach i starannem baczeniu na konieczny warunek jedności, zapewne się rozwinie. W ogóle p. Grossman z korzyścią pisać może muzykę lekką. Opera seryo wymaga dłuższego doświadczenia. Mając to na względzie, życzymy kompozytorowi wytrwałości i niesiemy mu słowa serdecznej zachęty.

P. Frieman, Lublinianin, wystąpił we wtorek z koncertem Rodego i fantazyą Leonarda. Z koncertu grał allegro, a i to niemało. Kompozytorka to klasyczna i ztąd wymagająca poważnego traktowania. Szerokość tonu i siła, wyrzeczenie się efektów i dokładne pojęcie natury utworu, są tu niedoścignione. Co do dwóch ostatnich warunków, pan Frieman niezupełnie się z zadania wywiązał. Zauważyliśmy także przy całej szlachetności gry p. Friemana drobne efektowanie, które chociaż wykazuje tu i owdzie biegłość i wyrobienie mechanizmu, przecież stanowczo jest niewłaściwe.

Fantazyja Leonarda i wariacje Wieniawskiego, nad program zagrane, dały kompozytorowi szersze pole popisu. Tu wykazał całą dokładność i piękność swojego staccata, trylu i fladzeoletów, tu zajaśniał czystością i dźwięcznością tonu, i tu wystąpił z małymi figlami wysoko wyrobionego mechanizmu. Słabość to koncertantów, ale chętnie im ją darujemy, gdy niegrozi chronicznością. W ogóle p. Frieman jest wybornym skrzypkiem i szczerze zasłużył sobie na poklask uznania, którego mu nie szczędzono.

Na zakończenie notujemy tu przyjazd Litolfia. Znakomity wirtuoz i kompozytor da nam się słyszeć jutro, a jak go przyjęli słuchacze i wielbiciele, powiemy wkrótce.

Przegląd polityki zagranicznej.

22 lutego.

W dniu 14 b. m. cesarz Napoleon, w obec przedstawicieli ciała prawodawczego, rady stanu, senatu, ambasadorów mocarstw zagranicznych i innych dostojnych osób, odczytał tegoroczną mowę tronową, wycekiwaną jak zwykle przez dziennikarstwo i jak zwykle ograniczającą się na ogólnikach. Mowa opiera się na dwóch głównych podstawach: pokój na zewnątrz, rozwój liberalny na wewnątrz. Około tych głównych osi obracają się wszystkie szczegóły wygłoszone stylem lapidarnym, obliczonym na efekt, lecz zwięzłym i jasnym. Zaznaczywszy, że już Napoleon I na wyspie św. Heleny oświadczył, iż dojszć zamierzał do zjednoczenia jednorodnych ludności geograficznych, by zapewnić tym sposobem równowagę w Europie, cesarz wspominał o wypadkach w Niemczech i bezstronnem znalezieniu się Francji. „Nie uzbroiłem ani jednego żołnierza, powiada władca Francuzów, nie posunąłem ani jednego pułku, a jednakże głos Francji powstrzymał zwycięzców pod murami Wiednia.“ Wkraczając w dzie-

dzinę swobód wewnętrznych, Napoleon III z góry oświadczył, że po piętnastu latach spokoju i pomyślności, nadeszła chwila rozszerzenia praw politycznych. „Wolność, rzekł, była dotąd we Francji efemeryczną, gdyż wraz z jej użyciem następowało nadużycie i naród chętnie się jej zrzekał, aby nie pogрузić się w nieładzie. Godném jest mnie i was, aby zastosowanie tych zasad stało się rozleglejsze, dla chwały Francji.“ Cesarz kończy swą mowę temi słowy: „Ufny we własne sumienie, pragnące tylko dobra kraju, wzywam was, panowie, abyście poszli za mną krokiem pewnym, po drodze cywilizacji.“

Między koroną austriacką i Węgrami przyszło nareszcie do zgody. Na posiedzeniu obu izb w Peszcie odczytano w dniu 18 b. m. reskrypt królewski, odpowiadający na ostatni adres w sposób nader dla Węgrów łaskawy. Rząd cofa patent o nowej organizacji wojskowej i przedstawi sejmowi osobny projekt, zgadza się na przywrócenie konstytucji i ministerium, a prezesem nowego gabinetu mianuje hr. Andrassy. Obie izby uchwały wysłanie deputacji dziękczynnej do Wiednia. Jednocześnie z tym reskrytem przedstawiono sejmom niewęgierskim powody dla których zwołuje się rada ścieśniona, przyczem rząd zapowiada rozszerzenie konstytucyjnej autonomii dla wszystkich królestw monarchii i wiele innych projektów dotyczących swobód wewnętrznych i rozwoju dobrobytu. Pokazuje się więc z tego wszystkiego, że p. Beust zdecydował się na dualizm z rządem konstytucyjnym w Węgrzech, oraz centralistyczno-konstytucyjnie-federalistycznym w innych krajach, monarchii austriackiej.

Z Berlina donoszą, że we wszystkich miastach kandydaci liberalni zwyciężyli. W Berlinie np. wybrano pp. Lasker, Waldeck, Wiggers, Runge, Schultze-Delitsch i Dunker, zamiast hr. Bismarck, generałów Moltke, Steinmetz, Roen, Herwarth i Falkenstein, których kandydatury upadły. Posiedzenia parlamentu północnego otworzone zostaną przez samego króla Wilhelma.

Depesze zawiadomiły już w zeszłym tygodniu o rozwiązaniu parlamentu włoskiego; dzisiejsze dodają, że i gabinet p. Ricasoli nie utrzymał się w całości. Nowa lista ministrów składa się z pp. Ricasoli prezes i minister spraw wewnętrznych; Visconti-Venosta spraw zagranicznych; Depretis skarbu; Devincenzi robót publicznych; Correnti oświecenia; Cugia wojny; Mari sprawiedliwości; Brancheri marynarki. Nowe ministerium ułożyć ma projekt do prawa o swobodzie kościoła i przedstawić go nowemu parlamentowi.

W chwili gdy stare stronnictwo torysów zaledwie utrzymuje się przy sterze państwa, podkopywane codziennie przez wigów i reformistów, nowy kłopot spada mu na głowę w Irlandyi. Telegram z Chester zawiadomił, że kilkuset fenienów przybyło do miasta, tudzież że władze przedsięwzięły wszelkie środki ostrożności, tak iż niema obawy naruszenia spokojności. I rzeczywiście, fenieni wyjechali z Chester, lecz wkrótce potem nadeszła depesza z Dublinu pod d. 15 b. m., wykazująca że stan rzeczy jest daleko gorszy jak sądzono. Banda fenienów w 1200 ludzi, pod wodzą O'Connora pułkownika z armii amerykańskiej, zajęła wąwozy w górach hrabstwa Kerry i zagraża miastom. Dzienniki angielskie przewidują, że wkrótce parlament zostanie rozwiązany, a królowa nowe utworzy ministerium. Stronnicy reformy przygotowują na święta wielkanocne w Londynie wielką ludową demonstracyą.

Mémorial diplomatique, organ austriacki wychodzący w Paryżu, zapewnia, że już nastąpiło porozumienie Francji z Rosyją i Austryją w kwestyi wschodniej. Mémorial utrzymuje, że trzy mocarstwa, wsparte przez Prusy, żądają autonomii dla wyspy Kandy, cofnięcia załóg z fortec serbskich i wprowadzenia hattihumajum z 1856 r. Rozpuszczono nawet pogłoskę, jakoby Francya zagrożić miała Porcie wojną, jeżeli nie odstąpi Grekom Kandy. Depesze z Paryża przeczą temu, przynajmniej wszakże iż takie rozwiązanie sporu kandyjskiego dobrzeby przez gabinet francuzki przyjętém zostało.

(W. T. B. Schles. Ztg. Ind. Bel. France. Jour. des Deb).

Józef Supiński.

(Dokończenie).

W roku 1855 ukończył Supiński pierwsze swe dzieło: *Myśl ogólna fizjologii powszechnej*, będące podstawą całego systemu. Dwie zasadnicze siły działają w przyrodzie, czyli, jak pisze Supiński, w przyrodzie, dlatego, że wszystko w niej nieustannie się przeradza—siła *odpychająca* i *przyciągająca*—pierwsza dążąca do wyosobnienia jednostek, do wydzielenia ich z całości wszechświata jako samistnych całości, druga ogarniająca siłę poprzednią, sprawująca rozkład wszystkich cząstek i jednostek. Te zasadnicze siły, jak je nazywa Supiński, siła rzutu i rozkładu w ciągłym wzajemnym równoważeniu się, stanowią życie wszechświata. Wszystko co istnieje, staje się siłą wewnętrzną rzutu całością dla siebie, a zarazem częścią innych całości, skutkiem działającej równocześnie siły rozkładu, przetwarzającej i zmieniającej nieustannie postać wszechświata. Fizjologiczne to prawo, obejmujące życie powszechne, przenosi Supiński do stosunków społecznych i na niem buduje cały swój system gospodarstwa społecznego. Jest to pomysł nowy. Wprawdzie już Carey, a za nim Bastiat, Fourier i inni uważali siłę atrakcyjną jako czynnik wiążący ludzi w społeczeństwo; wszelako Supiński uważa ją w chwili gdy się staje siłą rozkładu jestestw pojedynczych i zestawiając ją z przeciwną jej siłą rzutu, przedstawia systematyczne obu sił tych działanie w całym wszechświecie, w stosunkach społecznych i w rozwoju dziejów ludzkości. To właśnie stanowi odrębną, samistną cechę systemu Supińskiego. Na myśl zaś szukania na tej drodze praw rządzących społecznością, na-

prowadziły go, jak sam wyznaje, następujące słowa, które o zakresie fizyki wyrzekł A. Comte: „Już istnieje fizyka nieba i fizyka ziemi, czy to mechaniczna, czy chemiczna, fizyka organizmu, czy to roślinna, czy zwierzęca. Pozostaje do utworzenia fizyka ostatnia, to jest społeczna. Jój powstanie uzupełni naukę filozofii powszechnej.... Jój podstawą będzie prawdopodobnie siła grawitacji.“

Pierwsze przeto dzieło Supińskiego: „Myśl ogólna fizjologii powszechnej,“ wyłuszcza działanie owych dwóch sił zasadniczych, rządzących światem i społecznością, będące praprawem, na którym na-

stępnie oparł Supiński cały system gospodarstwa społecznego. Zarzucano mu że podciągając społeczeństwo pod prawa fizjologiczne, czyni je materialnym narzędziem sił ślepych, że zamyka ludzkości drogę samoistnego duchowego rozwoju. Wszelako zarzut to płanny. Jak jestestwo człowieka, złożone z ducha i ciała, podlega i podlegać musi do pewnego stopnia prawom materji, tak również i społeczeństwo ludzkie, z tych samych złożone pierwiastków, ograniczone światem zewnętrznym, wyzwoić się całkowicie z pod nich nie może, lecz musi koniecznie pewnym fizycznym ulegać prawom.

człowiek ręki swęj do nięj nie przyłoży. Człowiek nadaje jęj wartość swą pracą i wiedzą. Jak przyroda składa się z materji i praw nią rządzących, tak znów praca i wiedza, któremi człowiek urabia sobie na własność przyrodę, odpowiadają dwóm wymienionym czynnikom. Wiedzą poznaje człowiek prawa przyrody, pracą opanowuje jęj materją. „Siłą człowieka, powiada Supiński, wydobywającą z rzeczy myśl, jest jęgo wiedza; siłą przelewającą myśl wrzecz jest praca jęgo.“

Działająca nieustannie wiedza i praca człowieka, owa jęgo siła rzutu, a z drugięj strony walcząca z nią

siła rozkładu, tworzy w ogromie wszechświata nieskończoną różnorodność objawów, *rozmaitość powszechną*. Różnorodność sił i środków pociąga nieuchronnie za sobą różnorodność sposobu, to jest różnorodność działania, różnorodność wysileni i kierunków, z czego wynika *podział wielkiej powszechnej pracy* w przyrodzie. „Podział pracy, mówi dalej Supiński, na olbrzymi rozmiar rzucony w przyrodzie całej, jest siecią, pokrywającą powierzchnię ziemi, splatającą części w niepodzielną całość, w stowarzyszenia powszechne, gdzie wszystko istnieje w zawisłości od wszystkiego.“ Owa nieustannie działająca w wszechświecie siła rzutu i rozkładu sprawia dalej, iż całe rzędy istot giną, a rodzą się inne, w ciągłym, wzajemnym z sobą prześcigiu. Owych to sił działanie, przeniesione w stosunki społeczne, wytwarza nieustannie chwiejną i zmienną nierówność summy wyrobów do summy potrzeb, nierówność popytu i podaży, w y o ł u j ą c ą zmienność cen i zysków. Skutkiem tychże samych sił, jest stan czynny i bierny wszechrzeczy, co w życiu społecznym jest źródłem społecznych praw i obowiązków, praw przysługujących każdemu i obowiązków na każdym ciężących. „Materja i jęj własności, są jeszcze słowa Supińskiego, przelwające się łącznie i niepodzielnie po prze-



KOŚCIÓŁ W DĘBNIE. (Rysował z natury Matejko). Zob. artykuł w Nrze 331 Tygodnika.

Jest to rzecz tak widoczna, że jęj zaprzeczyć niepodobna. Nie krępują one bynajmniej rozwoju ludzkości, chociaż ograniczają społeczeństwo do pewnego stopnia i nie się z pod nich wyłamać nie może. I dlatego właśnie należy je zbadać umiejętnie, aby niemi ować, a wówczas nie będą one zaporą ludzkości, ale przeciwnie staną się użytecznymi i wskażą przyrodzoną postępu drogę. Zaslugą jest Supińskiego, iż usiłował zbadać ich własności i wykazać istotę.

Przyroda, twór Boży, istnieje w świecie darmo. Może być użyteczną, ale nie ma wartości, dopóki

stworach świata całego, a powyżej nich prawa, istniejące bez miejsca i czasu, przecież wszędzie i zawsze, oto dwie różne części tęj samej jednolitej i niepodzielnej przyrody. *Wyroby* człowieka i ich własności, zatem ich użyteczność, roztaczające się razem i niepodzielnie wśród rozległej ludzkiej rodziny z której powstały i w której toną, i przelana w nie ludzka *wiedza*, istniejąca bez nich i po za niemi, oto dwie różne części, składające jeden jednolity i niepodzielny świat człowieka.“

To są główne prawa, będące bezpośredniem następstwem zasadniczego praprawa, owego roztacza-

jącego się na cały wszechświat działania dwóch przeciwnych sobie sił rzutu i rozkładu, które jest podstawą systemu Supińskiego. Przenosząc je na pole społeczne i w dziedzinę historii, wykazuje jak się na podstawie onego praprawa tworzyły pierwiastki życia społecznego i jaki był porządek dziejów świata. Wszędzie tam siła rzutu wybija się na wierzch wielkie osobistości, potężne ambicje, i siła rozkładu powszechnego rozplywają się znowu i znikają w dziejowym rozwoju ludzkości.

Mysł ogólna fizjologii powszechnej, w której znajdują się wyłożone powyższe zasady i myśl kierownicza całego systemu, jest tylko wstępem ogólnym do samejże *Szkoły gospodarstwa społecznego*, której wyszły dwa tomy. Przystępując do wykładu nauki, wypadło z góry dać jej określenie. Ekonomiści różnie usiłowali określić ekonomią polityczną. Supiński zakreśla obszerniejsze ramy swjej umiejętności niż jego poprzednicy i dlatego nazywa ją *gospodarstwem społecznym*, gdyż według niego obejmuje ona wszystkie stosunki rozwoju społecznego. „Gospodarstwo społeczne jest, po-

wiada Supiński, treścią i wykładem przyczyn wszystkich ruchów i usiowań, pojedynczych i zbiorowych, wiążących ludzi w jedną niepodzielną całość.“ Według tego określenia dzieli Supiński gospodarstwo na dwa wielkie działy: na *organizm* i *mechanizm* społeczny. Dział pierwszy obejmuje stosunki społeczne wynikające z porządku przyrodzonego, koniecznego; prawa rządzące społecznością *bez niej i mimo niej*. Część ta mówi o wartości, zasobie, pracy, wymianie i t. d. Dział drugi obejmuje stosunki które człowiek sam stworzył, szczegóły które leżą niejako po za obrębem praw przyrodzonych, jeżeli po za niemi w ogóle leżąc co może, jak zarząd kraju, sądownictwo, podatki, stowarzyszenia i t. d.

Dwa tomy wydanej przez Supińskiego *Szkoły gospodarstwa społecznego*, obejmują tylko część pierwszą powyższego programu, mianowicie naukę o *organizmie społecznym*.

Rozmaicie pojmowali i określali ekonomiści pojęcie bogactwa, będące treścią i przedmiotem ich nauk. Jedni upatrywali je w użyteczności lub trwałości rzeczy posiadanej, inni w obfitości przedmiotów użytecznych lub ich rzadkości. Z teorii Supińskiego wypływa ściślej wyróżnione pojęcie bogactwa. Wszystko co wyszło gotowem z rąk Stwórcy, co istnieje w przerodzie darmo, słowem wszystko co *Bóg dał*, jest bogactwem, *Boga dactwem*, biorąc etymologicznie. To zaś co człowiek pracą i wiedzą swoją z tego wszechświecia, darmo istniejącego, sobie przyswoi, na swą

własność urobi, w co człowiek się wcieli swą pracą i wiedzą, lub co przez nie wcieli w siebie, co tym sposobem posiadzie i *ma*, jest jego *mieniem*. W tém leży różnica bogactwa od mienia, według teorii Supińskiego. Oto jak rzecz tę objaśnia przykładem:

„Ciepłik i światło słońca, rozwijające wiosenną roślinność; części składowe stanowiące ziemi urodzajność, pożywność zawarta w mączce roślinnej i

tości. Słusznie temu przeczy Supiński. Pojęta w ten sposób wartość jest raczej ceną zamienną, a nie wartością samą w sobie. Czyż na własną potrzebę użytkowana rzecz nie ma wartości dla nas, przeto że jej za nic nie wymieniamy? Według Supińskiego *użyteczność* jest przymiotem materji wyższej z rąk Stwórcy, istniejącej darmo. Użyteczność ta, urobiona przez człowieka, nabięra *wartości*.

Wartością jest to, co człowiek wiedzą i pracą swoją przelał w materję na swój i następnych pokoleń użytek, co pomimo wieczystego przetwarzania się materji, tkwiącą w wszechświecie siłą rozkładu, pozostanie nazawsze już człowieka nabytkiem i własnością. Słowem „*wartością* jest użyteczność, *wypracowana* pod kierunkiem *wiedzy*, zatem skutek pracy użytecznej.“

Cena jest porównaniem dwóch wartości. Wartość istnieje sama w sobie, bez względu czy tę rzecz porównujemy z inną, lub nie. Cena jest wynikiem porównania, „miarą i wagą ludzkiego świata.“

Z tak wyróżnionych i ściśle przez Supińskiego określonych pojęć, wypływa jego pojęcie *zasobu społecznego*, całkiem odmienne od pojęcia tego u innych ekonomistów. To co człowiek przez pracę i wiedzę na własność swoją urobi ze świata zewnętrznego, owe niespożyte, piętnem umysłowej działalności jego, jego siły rzutu, nacechowane zdobycze stanowią zasób społeczny. Jest to więc pod pewnym względem to, co ekonomiści zowią zazwyczaj *kapitałem*. Ale u Supińskiego kapitał ma ściślejsze znaczenie, znaczenie jakie mu się zazwyczaj w mowie potocznej daje: jest poprostu sum mą uzbieranych pieniędzy. To zaś co samo przez się ręką Stwórcy leży przed nami nagromadzone na nasz użytek i co stanowi samą przerody bogactwo, jest *zapasem*, w odróżnieniu od zasobu, pracą i wiedzą ludzką uzyskanego.

Ażeby dokładniej uwydatnić pojęcie zasobu społecznego, będące główną podstawą dalszej nauki Supińskiego, użyjemy tu jeszcze własnych słów jego:

„Wiedza i praca, nagromadzona w długim wieków szeregu, rozpościérająca się coraz silniej i co-

raz widoczniej po powierzchni fizycznego świata, jest *zasobem społecznym*, jest pierwiastkiem na którym się rozwija świat ludzki, tak jak życie organiczne rozwija się na pierwiastkach świata powszechnego... Zaczem zasób społeczny jest zbiorem wartości społecznych, jest nagromadzeniem prac użytecznych, jest zapasem *wypracowanych użyteczności*, bez względu czy te utkwily w ciałach martwych, czy stały się potęgą myśli.“

CHARAKTERYSTYKA LASEK.

Pomysł i rysunek Henryka Pillatego.

(Dokończenie).

w kleju mięs zwierzęcych, są jeszcze przyrodzonemi tych jestestw własnościami, są przeto *bogactwem* przyrodzonym okolic w których leży ta ziemia, w których się te konie najlepiej udają, w których jest najłatwiejszym chów bydła. Wszakże dopatrzenie tych rzadkich własności roli, zwierząt lub roślin, sztuka ich hodowania i właściwego użycia, ich skierowania w stronę potrzeb ludzkich, są już wyrobem ludzkiego rozumu, są czysto ludzkim *mieniem*.“

Bogactwo naszego języka umożliwia Supińskiemu ściśle

wyróżnienie pojęć blisko siebie leżących. Oto co w innym miejscu pisze:

„Mówimy: kupcy hamburscy posiadają ogromne majątki. Używamy wyrazu *majątki*, bo to z czego się one składają, nie podpada zupełnie pod zmysły, bo przedmioty w których tkwi ich wartość, zmieniają się co chwila, przechodzą z towarów w rachunki, z tych w weksle, z weksłów w gotowiznę, i t. d. Mówimy: nauka i uzdolnienie do pracy są

na j p e w n i e j s z e m człowieka *mieniem*; tych ogień nie spali i woda nie zabierze, bo wyraz *mienie* jest jeszcze mniej zależnym od materji, jest zupełnie oderwanem pojęciem, bo *mieniem* jest to co człowiek ma niewątpliwie i nazawsze. Mówimy dalej: Ta rozległa *majątkość* należała niegdyś do kogo innego, bo wyraz *majątkość* łączy pojęcie oderwane *mienia*, z pojęciem zmysłowym posiadłości oznaczającej pewną przestrzeń ziemi, na której znajdować się mogą domy, ogrody, lasy, pola. Mówimy wreszcie: łagody klimat i mnogość

rzek spławnych, są nieocenionem *bogactwem* środkowej Ameryki, bo klimat i rzeki nie pochodzą od ludzi, bo one są darem Stwórcy, nie przestając być jego własnością.“

Z tak wyróżnionych pojęć *bogactwa* i *mienia* wypływa naturalnym wynikiem pojęcie użyteczności i wartości. Według najznacniejszej liczby ekonomistów *wartość* jest wynikiem zamiany, powstaje przy zamianie, tak że bez zamiany nie byłoby war-



Laska dająca prawo naturalizowania się na szwajcara.



Laseczka magiczna do wydobywania dziesiątek z kieszeni.



Kij wędrowny, towarzysz doli i niedoli.



Palka do praktycznego wykładu komunizmu.

Zasobem tedy u Supińskiego nie jest zbiór nagromadzonych materyj, jak zwykle dotychczas kapitał pojmowali ekonomiści, ale jest to raczej ta wlna w materyą siła, którą człowiek przerobił ją i przeistoczył; jest to co w tę materyą przeniósł z siebie i czem ją podniósł do wartości na użytek swój i przyszłych pokoleń; słowem jest to wiedza nabyta przez pracę i praca nagromadzona przez wiedzę, obie przelane niepodzielnie w materyą zapożyczoną u świata powszechnego, bez której objawiłyby się nie mogły, trwające wszelako bez względu na przeobrażającą się nieskończenie materyą. Ta, rozplywając się stopniowo i wracając w łono świata powszechnego, nie unosi z sobą wiedzy i pracy ludzkiej, przechodzących z jednej materyi w drugą, z ludzi w ludzi, z pokolenia w pokolenie, owego zasobu, na którym, (a nie na materyi) opiera się rozwój i postęp rodu ludzkiego. Ta prawda, będąca wyłącznie pomysłem i własnością Supińskiego, pojęcie zasobu społecznego jako istności niematerialnej, wprowadziła cały dalszy jego wykład gospodarstwa społecznego na drogę w części nową, w części różną od dotychczasowej. Obaczymy tylko jak pięknie uzasadnia na niem teorią *własności*. Własność opiera się w teorii Supińskiego na tak silnej podstawie, będącej wynikiem całego systemu, iż w ten sposób ustalone pojęcie, niezem zachwiane być nie może. „Co jest kapitałem, są słowa Supińskiego, *wydobył* z ziemi, w szkole ekonomistów zachodnich, to w szkole naszej jest przeciwnie wiedzą i pracą utkwioną w ziemi, jest przeto zasobem społecznym *przelanym* w ziemię, która się z nim stapia i przechodzi na własność człowieka w świecie ludzkim przez to jedynie, że się od niego oddzielić już nie może.“

To cośmy tu powiedzieli, wystarczy do poznania ogólnego zarysu teorii Supińskiego. Na powyższych zasadach, postępując logicznie wytyczoną przez siebie drogą, opiera on i tłumaczy wszystkie stosunki ekonomiczne, teorią handlu zamiennego i kredytu, stosunki ludności do ziemi i jej płodów, teorią państwa i wzajemne rozmaitych warstw społecznych oddziaływanie, w końcu wpływ pojęć społecznych na ustawy i oddziaływanie ustaw na stan społeczności.

Mieści się to w dwóch tomach Szkoły gospodarstwa społecznego, obejmujących naukę o *organizmie społecznym*. Tom trzeci, czyli właściwie całego szeregu dzieł tom czwarty, mający obejmować z kolei naukę o *mechanizmie społecznym*, to jest przedstawić praktyczne w urządzeniach społecznych zastosowanie wyłożonych w tomach poprzednich praw organizmu przyrodzonego, pozostał, z przyczyn powyżej wzmiankowanych, nienapisany.

W końcu dodać jeszcze należy, że styl Supińskiego jest jasny, potoczny, miejscami obrazowo-poetyczny, wykład logiczny i przystępny. Terminologią naukową wysnuwa z ducha języka, starając się aby ile możności odpowiadała znaczeniu wyrazów w potocznej mowie przyjętemu. Szczególniejszą zaś zaletą dzieła jego jest to, iż uwzględnia wszędzie stosunki miejscowe, przez co dzieła jego stają się prawdziwie swojskimi i tęp większą nabierają dla nas wartości.

W. Z.

Przegląd piśmienniczy.

(Dalszy ciąg.)

Ależ znowu w takim razie cóż wypadnie powiedzieć o *Ewie*? Oto to, że nie mając nic a nic wspólnego z matką rodu, potrafiła jednak jak tamta skusić do popełnienia grzechu. Grzech to bowiem niełatwy do odpuszczenia, napisanie takiej jak ta tragedyi. Niepodobna zaś odżałować, że się to stało bez współdziałania owocu wiadomości dobrego i złego, mógł bowiem autor, nie trudząc krytyki, sam rzecz osądzić jak była warta. Tragedya ta napisana jest prozą. Ale mniejsza i o to, choć Arystoteles wyraźnie sobie życzy, żeby to ile możności wiérsem być mogło. Przystępujemy teraz do warunków jedności. No, co z tej strony, to tragedia nasza nie obawia się niczego. Rzecz rozpoczyna się w lesie z lasu nie wychodzi aż do końca. W tym tedy esie, owa utrapiona Ewa kochana jest aż przez trzech

odrazu. Z tych jeden cieszy się niezaprzeczoną jej wzajemnością, drugi być może że się cieszy, trzeci niewiedomo czy się cieszy, czy też smuci. Ten tedy trzeci zabija *pierwszego*, sam zaś ucieka i zostaje tylko na placu *drugi*, który trzymając w objęciu Ewę, klęka na miejscu zbroczonem świeżemi śladami krwi jej kochanka i powiada: „O najmilsza! gdy posiędę twą rękę, wzniosę w tęp miejscu świątynię i poświęcę ją miłości, albowiem tutaj najczystsza miłość spełniła ofiarę dla mojego szczęścia.“ Na tych osobliwych wyrazach zapada zasłona, a wyprowadzony w pole czytelnik naprózno się sili dojsć jakim bądź sposobem: czy z niego zażartować chciało, czy też go zapytano o drogę do rozsądku. Rzecz tę, nie mającą zalet ani pomysłu, ani obrobienia, ani stylu, ani choćby zdrowego sensu, wydano z pośmiertnych rękopisów autora. Trudno zrobić komu gorzszą jak tę przysługę.

Załatwwszy się z tragedją, przejdźmy teraz do dramatu. Zaraz zgóry o wiele mniej tu pretensyi, to też i porozumienie będzie łatwiejsze. Kapryśna forma tego rodzaju poezyi, wymykająca się stale określonym prawidłom, sprawia wprawdzie że estetyka wiedzieć o nim nie chce, podobnie jak prawowierny botanik nie przyznałby się nigdy do stulistnej róży; ale też właśnie z tego powodu krytyk po bliższym być może, co jest już niemal półwygraną. Istotnie zaś dramat w ściśleń znaczeniu, toż to dorobkowiec niedawny, błakający się niewyraźnie pośród dwóch niby warstw społecznych obywatelstwa sztuki. Wyszedł z łona komedyi, i zaraz już znać jej nie chce; tragedia zaś boczy się od niego, mając także swoje powody. Bo jużciż nowy ten intruz może sobie mieć i bogactwa nielada, i nawet je mieć; a jednak nie stać go nigdy na ten ton arystokratyczny, który cechuje tylko istoty nieposzlakowane szlachetnego urodzenia. Ztąd w niedbałości swojej rozpał się na najbardziej nieokreślone zachcenia, i wszystko co daje, za dobrą monetę brać trzeba, jak tylko godzi się to ze zdrowym smakiem, prawdą życiową i logicznem przeprowadzeniem zadania.

Oto naprzykład w rzędzie dramatów które oceniamy zamierzamy, pierwszeństwo bez wahania przyznać musimy *Wiśniowieckiemu*. A jednak są to tylko sceny dramatyczne, nie przedstawiające żadnej organicznej okrągłości. Ale zato co tam za ton Szekspirowski, co za obrazowanie, co za koloryt, co za ruch dramatyczny, jakie szlachetne słowo! Nawet, zdaniem naszym, powijaki, choćby najluźniejsze, wcaleby temu utworowi na korzyść wyjść nie mogły. Swoją drogą podzielony jest na części, akty, sceny, ale co to tam ten podział! habit przecie nie czyni mnicha, rzecz sama rozsądza tu formę. Przedmiot to bowiem, pod pozorem przedstawienia czynów głównego bohatera, zagarniający szeroko całą jedną epokę dziejową, podobnie jak to ma miejsce w Szekspirowskich, pełnych żywego tętna trylogiach. Przy całej swobodzie działania, wielka tu umiejętność władania środkami, wielka też ścisłość i pomiarkowanie; poglądy bystre; dar udzielania ich drogą wrażeń scenicznych zdradzający niepoślednią zdolność dramatyczną; ogromna zresztą wszędzie wprawa malarska, zdolna nieraz jednem brygnięciem pędzla rozświecić głębie, jednym pociągnięciem wykroić życie, jednem dotknięciem zdziałać wypukłość. Rzecz rozpoczyna się prologiem, stanowiącym oraz ekspozycją. Zaraz potem przenosimy się do obozu pod Glinianami (r.1648). Dalej idzie klęska piławiecka, zawieszenie broni na Zbarażu, układy pokojowe w Zborowie. Kończy się cała ta sprawa na polu bitwy pod Beresteczkiem, to jest na roku 1651. Obrazowanie tu wszędzie nadzwyczaj biegle. Do najpiękniejszych scen zaliczyłibyśmy: rokowanie Wiśniowieckiego z Wyhowskim w obce Szefer-Kassi-Agi na Zbarażu w czasie zawieszenia broni, i zaraz po tej idącej scenę w celi ojca Jana. Podobnie cała sprawa pod Beresteczkiem niezrównana w swoim ruchu i kolorycie. Do kreacyj w stylu czysto Szekspirowskim należy niewątpliwie Taszycki, towarzysząc z chorągwi Firleja, uosobienie niedbałości o życie, żartowniś, drwiarz, prawdomówca, rodzaj kieszonkowej Nemezyf historycznej, rozśmieszający drugich i sam się śmiejący.... Przechodzi mu już po kościach śmierci przeczucie, a jeszcze Pospolitaka gapę na fundusz bierze i miarkę mu z przed nosa sprząta. Kiedy go niosą z pola bitwy z urwaniami po brzuch nogami, żartobliwy testament dyktuje,

a potem przewraca się na bok, jakby do drzémki poobiedniej, i najspokojniej w świecie zasypia na wieki. Rzemyk Wolski, szlachetka z rawskiego, powiatowy bohater, wierutny warchoł, tchórz i łgarz, jest już więcej użytym typem (*miles gloriosus*), uosabia jednak nieporządki sejmikowe, wdzierające się aż do obozów, a ztąd nieraz popłoch, rozsypujący najdzielniejsze wyprawy. Powtarzamy, jest to robota ze wszech miar niepospolita.

Tuż zaraz po Wiśniowieckim, niemniej zaszczytne miejsce naznaczylibyśmy utworowi noszącemu tytuł *Chłop*, jakbądź skromnie nazwanemu obrazkiem dramatycznym. W istocie zaś, jest to już niemal dramat okrągły. Przedmiot jego, należący do całkiem już minionej epoki, o wiele wprawdzie ujmuję mu zajęcia; ratują go jednak wysokie artystyczne zalety, nigdy nie ulegające przedawnieniu. Rzecz to podobnie szkicowana bardzo biegłym piórem, żywo, wprawnie, energicznie; obmyślana zaś z wielką wstrzemięźliwością, godną w tym razie podziwu. Istotnie bowiem, dla tuzinkowego pisarza, niemało tu skał wabiących do rozbicia. Przerazliwe światła, przepaściste cienie, barwy krzyczące w niebogłoty, słowem te tysiączne, wypróbowane już przez paradyzową publiczność oklepanki; jak tu sobie odmówić tych stanowisk po drodze, mających wszelkie pozory ziemi obiecanej, a będących tylko trzęsawiskiem, na którym utrzyma się chyba domek karciany? Dzięki optymistycznym swoim przekonaniom, autor *Chłopa* szczęśliwie wymyka się u mię pokusom, szczęśliwie też przybija do brzegu. Ogólnie ludzie u niego dobrzy, i jakbądź z pewnym (łatwem zresztą do wytłumaczenia) pasowaniem się, całą duszą jednak wydzierający się ku dobrodziejstwu postępu. To sprawia, że pośród nich, postać Edwarda nawet jaskrawością swoją wcale nie razi; raz że czujemy iż był nieunikniony, a powtóre że jest przedziwnie prawdziwy. Język tu wszędzie piękny, potoczny; dialogowanie wzorowe, układ sceniczny zręczny, obrazowanie wiele kunstowne; słowem wszystko się niemal składa na to, żeby rzecz tę podnieść o wiele wyżej ponad stanowisko dramatycznego obrazka; nietyle jednak, żeby stanąć mogła na wysokości dostatecznie wykończonego dramatu. W każdym razie ocenić należy umiarkowanie autora, który, jako biesiadnik ewangeliczny, wolał zająć miejsce poślednie, choć mógłby na upartego zasiąść i na pierwszym.

Nie tak się rzecz ma z *Klarą Zacz.* Utwór ten odrazu zapowiada się jako dramat, i to jeszcze historyczny. W istocie zaś dość to wafła budowa, przedstawiająca zaledwie kilka godniejszych uwagi szczegółów. Pospieszamy dodać, że to jest przekład z węgierskiego poety Karola Kiszfaludy. Tak mało wiemy o literaturze węgierskiej, tak dalece nie a nie prawie o Kiszfaludym; zaledwie znamy go z nazwiska. Co on zdziałał więcej? jakie są jego zasługi, jakie znaczenie? jakie zajmuje stanowisko w literaturze swego kraju? cóś wreszcie o literaturze dramatycznej węgierskiej, a przynajmniej czy dramat który nam przyswojono liczy się do pierwszorzędnych, czy też są od niego lepsze? Wszystkiego tego mielibyśmy prawo wyczekiwać w przedmowie przekładcy, który, jak sam powiada, zna doskonale język, w ogóle mniej niż mało u nas uprawiany. Tymczasem najzupełniejszy zawód z tej strony, dorównywa niemal zawodowi jakiego się doznaje po przeczytaniu samego dramatu. Dobrze studia w tym względzie daleko większą byłyby zasługą, niż pracowity przekład oderwanego dzieła całkiem wątpliwą zasługą. Bierzmy jednak co dają, zawsze i to co jest na pewną wartość względną. Rzecz dramatu osnowana jest na opłakanem zdarzeniu (na nieszczęściu historycznym) którego o włos że nie padła ofiarą królowa Elżbieta. Bawiący na jej dworze młodzieńcem jeszcze Kaźmirz Wielki (r. 1330) uwiódł był piękną Klarę, córkę ulubienca królewskiego Felicjana Zacza (kronikarze nasi nazywają go Mereczem). Dumny magnat nie ścierpiał krzywdy i zemścił się na królowej. W skutek tego zuchwalstwa, ukarany został śmiercią wraz z córką. Takim jest nagi szkielet przedmiotu, urządzono go zaś do życia w sposób następujący.

Trzej dworzanie królewscy: Babonicz, Faleński i Lanka syn Babonicza, pierwszy przez zawiść względem rodu Zaczów, używających przeważnego wpływu na dworze, dwaj drudzy zaś odepchnięci przez Klarę, sprzysięgają się na zgubę tej ostatniej, i w tym

celu popychają królewicza do spełnienia zbrodniczego czynu. Założenie to, jak widzimy, jest dość nietrafną inwencją, przypominającą przepowiedzenie spełnionego już oddawna proroctwa. Z tego bowiem co dotąd było, przy najlepszej chęci, ani by podobna przewidzieć skutku jaki historycznie nastąpił, tém bardziej, że królowa wolna tu jest od wszelkiej winy. Bądź jak bądź, rzecz idzie dalej ze ścisłością niemal kronikarską. Tylko że po spełnieniu katastrofy, prawie natychmiast rozwiązuje się spółka sprzysiężonych. Powiernik królewicza znika z nim razem; Lanka zaś odstępuje ojca i pragnie umrzeć. Jakoż nie zdołał przeżyć śmierci Klary i topi się w Dunaju. W ogóle życia dramatycznego, działawczego ruchu, lub choćby słów silniejszych, bardzo tu niewiele; wszędzie przeważa raczej liryka. Nawet scena wjazdu króla (6ta aktu IIIgo) otwarcie już urządzona jest na sposób kantaty, pobudzającej zapewne uczucia patryotyczne. Ostatecznie nie zbłądzimy może, przypuszczając w tym dramacie mnóstwo szczegółów, posiadających swoje miejscowe, uczuciowe, dla nas mało przystępne piękno. Widać to po sposobie wypowiedzenia niektórych wspomnień, słów, aluzji, pozwalających nawet domyślać się potężnego zapału tam, gdzie go dla nas najzupełniej niema. Swoją drogą niebrak tu i piękna ogólniejszej nawet doniosłości. Tak np. przykład postać Kesi Berendy jest ze wszech miar szczęśliwa. Nawet sceny które on działaniem swoim ożywia, uważamy za najładniejsze z całego dramatu. Czelen podobnie nie jest zwyczajnym oklepianym kochankiem; człowiek to wysokich cnót rycerskich i wielkiego hartu duszy; on też jeden i sam się rusza żywiej od drugich i ruch w około siebie obudza. Co do zewnętrznych zalet tego utworu, to o tych niewiele jest do powiedzenia. Tłumacz zaręcza, że przekład jego bardzo jest wierny; otóż styl tego przekładu twardy, ciężki, niestranny, wcale nie przemawia na stronę pierwowzoru. Tyle o rzeczy tej, jako o utworze sztuki. Niewątpliwie jest to dramat, ale bardzo sobie domowy, i w obcym szacie wygląda nieswój, zakłopotany, słowem jakiś całkiem niepraktyczny.

(Dokończenie nastąpi).

Z TYFLISU POD ARARAT.

Przez

Kazimira Łapczyńskiego.

(Dokończenie).

Wspomnieliśmy poprzednio, że Erywań sławi się bawełnianymi wyrobami. Część Armenii pod rosyjskim panowaniem zostająca, produkuje rocznie bawełny 3200 chawlarów, co wyniesie około 35,000 centnarów, a przecież nie sam Erywań ją przerabia, każda wieśniczka ormiańska tka ją w czasie zimowych miesięcy.

Obiad był wyborny, wszystkie potrawy smaczne i pod osobistym dozorem samej pani doktorowej sporządzone. Przed zachodem słońca, nie chcąc w nocy po raz drugi staczać walki ze stotyściczną armią nieustraszonych muszek, wsiadłem na pocztową brykę, cofając się przed przeważającą siłą. Ledwie się znalazłem za rogatkami, otoczył mnie świat wcale niepodobny do owego jałowego stepu, po którym spuszczaliśmy się od gokczajskiego jeziora do Erywania. Gdzie okiem rzucisz, wszędzie ziemia uprawna, nawodniona i bujnym plonem okryta. Droga idzie jak po stole, kierując się ku południowi, wprost na Ararat. Na lewo, to jest od wschodu, sinieją w dali odgałęzienia karabachskich gór, czyli Małego Kaukazu; na prawo, to jest na zachodzie, ściele się araska równina. O parę mil od nas sterczą na niej jakieś wieże, jakaś grupa ścieśnionych zabudowań: jest to sławny Eczmiadzyn, ormiański Rzym, rezydencya patriarchy, czyli katolikos, którym obecnie jest p. Nerses. Eczmiadzyn po ormiańsku znaczy *zeszedł jednorodzony*, tam bowiem Chrystus objawił się świętemu Jerzemu, apostołowi Armenii, co żył w IV wieku naszej ery. Król Tiridat, współczesny świętemu, na miejscu cudu wystawił kościół. Ściany dzisiejszej świątyni mają istnieć od roku 483, a kamienna kopuła od roku 618. W tych szanownych swoją starożytnością murach

przechowuje się znakomita biblioteka, po największej części z ormiańskich rękopisów złożona, która jest nieocenioną historyczną skarbnicą.

Liczne relikwie ściągają do Eczmiadzynu mnóstwo ormiańskich pielgrzymów, dla których przy pałacu katolikosy zbudowane są obszerne mieszkania. Między kościelnymi pamiątkami wysoko ceniiony jest tron, podarunek papieża Innocentego.

Patrząc z paromilowej odległości na sterczącą ku górze gromadę zabudowań, żałowałem że tamtędy los mojej drogi nie poprowadził, tém bardziej że w bliskości patriarskiej stolicy są jeszcze starożytniejsze pamiątki, jak np. ślady Artimedusa czyli miasta Diany, co na 1600 lat przed Chrystusem przybrało nazwę Wardkesa-Awan, a w II wieku naszej ery Wagartapad'u i przez jakiś czas było stolicą Armenii. Nieco dalej, bo o 2 i pół mili w bok Eczmiadzynu, na górze z czerwonej lawy, noszącej nazwę Tepadibi, są rozwaliny Armawiru, pierwszej armeńskiej, osiemnasto-wiekowej stolicy, założonej na 2160 lat przed Chrystusem; a znowu bliżej nas, pod wsią Ardaszad'em, obszerne ruiny starożytnej Artaksaty, zbudowanej i ufortyfikowanej podług planu Annibala, na 184 lat przed Chrystusem. Szkoda żem tego wszystkiego nie mógł obejrzeć, ale nierównie większa szkoda, że nasi archeolodzy szerszym kołem swoich działań nie roztoczą. Niechby się aż pod Ararat pomknęli, niechby który z uczonych, choćby nawet nie znając ormiańskiego języka, do Eczmiadzynu zawitał. Pewno byłby miłym gościem i pomoc naukowąby uzyskał. Gdyby nawet na górze Tepadibi i w gruzach Artaksaty nic nie znalazł, to przynajmniej w Erywaniu w rzadkie numizmaty się zaopatrzy; podług pana Orłowskiego bowiem, a świadek to ze wszech miar wiarogodny, bardzo łatwo w tém mieście spotkać się z dawnymi monetami Seleucydów, Sasanidów, rzymskich i bizantyńskich cesarzów, z medalami Aleksandra Wielkiego i rzymskich konsulów. Daj Boże żeby te słów kilka, nawiasem rzuconych, wydało z czasem owoce. Jeżeli nic z tego nie będzie, pocieszę się georgiańskim przysłowiem: *Kogut rzekł: ja zapieje, a niech tam sobie potem świta albo nie.*

Lubo Armenia ogólnie bardzo słabo jest zaludniona, okolica jednak przez którą obecnie przejeżdżam do wyjątkowych należy. Gliniane wioski mijam dosyć często, a ciemne, niesłychanie starożytności ciosowe kościółki, o niziuchnych drzwiach i zaraz przy ziemi zaczynających się sklepieniach, ustawicznie przenoszą myśl w pierwsze wieki chrześcijaństwa. Słońce zaszło, mrok siada na araskiej dolinie, tylko szczyt Araratu jak różowa luna gorze nad zacięciem ziemią. Na pocztowej stacyi najbliższej od biblijnej góry, zatrzymałem się na noc, żeby nasycić się jej widokiem. Gdybym był zupełnym panem swego czasu, jeżeli nie na szczyt, bo to by się bez ogromnych kosztów nie dało uskutecznić, to przynajmniej na siodło łączące Mały i Wielki Ararat dostałbym się niezawodnie. Ale jak mówią Georgianie: *o igłę kulakiem nie uderzysz*, co wychodzi na nasze: *głową muru nie przebijesz*. Więc z trzymilowej odległości po zachodzie i o wschodzie słońca przypatrywałem się śnieżystemu Bożemu arcydziełu. W stosunku do wysokości, odległość to wcale niewielka: byłem prawie u podnóża. Każdy kamienny wawóz, każdą szramę zadaną przez siły wulkaniczne, każdy załom śniegowego kołnierza, zdaje się że każdą śniegową zaspę było widać jak na dłoni. Gdyby to była góra bezimienna, żadną tradycją nie ukoronowana, już byłaby cudowną, a cóż dopiero kiedy te zrózowione śniegi upiękniała jeszcze legend aureola! Jak przy śnieżystych, oblanych jasnością przestrzeniach czerniły się zacięzione przepaście, tak samo przy świetlanej postaci Bożego wybrańca Noego, smutnie czerniło się widmo Artawazda, którego dzieje spowinowaczone z Prometeuszem, zna każdy nadaracki mieszkaniec.

Artawazd, młodzieniec burzliwy, nieposłuszny i złych skłonności, był synem armeńskiego króla Artaszesa, co go dla jego cnót cenił naród cały. Gdy król umarł i miłość ludu na pogrzebie w całej pełni się objawiła, serce złego syna poczuło niepohamowaną zazdrość dla ojca. Wtedy otworzyły się martwe królewskie usta i przekleły niewdzięcznika, zapowiadając mu, że zginie nagłą śmiercią i dostanie się w moc złych duchów. Prędko spełniły się słowa ojcowskie. Na łowach u stóp Araratu koń uniósł Artawazda i razem z jeźdźcem wpadł do niezgłębionej przepaści, gdzie złe duchy pochwyliły przekletego syna i przykuły go silnymi łańcuchami do skały. Są tam przy nim tylko dwa psy wiernie. Te gryzą bez przerwy łańcuchy i zdołałyby w ciągu roku je zniszczyć, ale wróżbici, wiedząc co za nieszczęścia spadłyby na Armenią, gdyby przeklety został wyswobodzony, ostrzegli o niebezpieczeństwie następując Artawazda na armeńskim tronie. Nowy król rozkazał wszystkim kowalom w wigilię Nowego roku, w chwili gdy łańcuchy stają się już cienkie jak włos, uderzać młotem w puste kowadło, dla wzmocnienia więzów potępieńca.

Rozkaz ten do dziś dnia kowale armeńscy, tak w ojczyźnie jako i na obczyźnie zamieszkali, spełniają, wykrzykując poważnie przy fatalistycznym uderzeniu: „A ty siedź Artawazdzie w pieczarze! łańcuchy twoje cienkie jak włos nie rozerwą się, ale się wzmocnią i nie będziesz się wałęsał po świecie!” Przypomina sobie zapewne czytelnik, że w wielki czwartek zbliżony obrzęd spełniają i georgiańscy kowale, skowając więzy Arimana.

Nim nas zaprzężone konie od stóp biblijnej góry odniosą, skoro nie byliśmy na niej, wspomnijmy tu przynajmniej tych szczęśliwych śmiertelników, co wchodzili na Ararat i z których jeden przemieszkiał na najwyższym szczyście przez całe dni szczęścia.

Nazwiska ich są: Parrot, Abich, Sejmur i Chodźko. Józef Chodźko, były uczeń wileńskiego uniwersytetu, pułkownik kwatremistrzostwa (później generał), brat znanego w naszej literaturze Ignacego, dnia 6 sierpnia 1850 roku wszedł na sam szczyt Wielkiego Araratu i jak już powiedziano, przebył tam blisko tydzień z sześćdziesięcioma żołnierzami, zdejmując kąty potrzebne do tryangulacji zakaukaskiego kraju, co się w owęj epoce pod jego przewodnictwem wykonywała. Lubo namioty, zapas opału i wszelkie potrzeby do życia dostały się na szczyt na ludzkich plecach, uczestnicy jednak niebezpiecznej tej wyprawy strasznie od zimna ucierpieli. Ciężkich odmrożeń było dosyć. Na szczycie Araratu wieczny śnieg tak jest stwardniały, że go ledwie można urąbać, a jego pokład ma kilka sążni grubości. Z boków góry od czasu do czasu, gdy się śniegów zawiele nagromadzi, obsuwają się olbrzymie lodowiska i spadają na doliny. Jedną z takich lawin zasypała zupełnie w 1840 r. wieś Arguri.

Dzwonek pocztowy dzwoni. Powoli wymijamy Ararat. Droga na południowy wschód biegnie ciągle wśród pól uprawnych i gęstych wiosek. Dopiero za wsią Dawalu, o 7 mil od Erywania, grunt wzniosł się cokolwiek wyżej; irygować go nie można, więc tylko pozółkłe trawy i bodiaki sterczą dokoła, a zamiast osad armeńskich, tu i owdzie bieleją namioty koczujących Kurdów i stada wółczą się po zeschniętym stepie. Mimo pól nieuprawnych, okolica piękna: na lewo góry Dagna, odrośl Karabachu, na prawo mętny Araks, w szerokiemi, trzcinami zarosłemi łożysku, a za nim skaliste wzgórki, już do perskiego szacha należące. Nad Araksem kiedy niekiedy widać kozackie posterunki, jeden za drugim rozstawione po granicy.

Jedziemy ostro, droga coraz się ku rzęce przybliża, bo i góry z lewej strony coraz się więcej ku niej przybliżają. Mijamy ciasny przesmyk; góry znowu nagle od rzeki odbiegły i rozkryła się przed nami obszerna dolina, rozesłana na lewym brzegu Araksu. Wzniesienie jej poziome dozwala irygacyi, więc mnóstwo kanałów przecina ją we wszystkich kierunkach, każda piędź ziemi starannie uprawna, a ryż, pszenica, orkisz i lucerna, złocą się i zielenią na wszystkie strony. Ta dolina, szpiczlerz Armenii, nazywa się *szarurską* od wsi Szarur. W bród przebyłem dobrodziejkę tej żyźnej doliny, rzekę Arpaczaj, jeden z lewych przytoków Araksu. Kilka mil oko cieszyło się widokiem bujnych zbóż, gęstych wiosek i krzątających się rolników; ale za wsią Kiuwrach grunt, podniósłszy się, uniemożliwił irygacyę; uprawne pola nagle przedzierzgnęły się w najsmutniejsze jałowe przestrzenie, bodiakami zarosłe; rolników nie stało, tylko tak nazywane tutaj dzikie kury (*Pterocles arenaria*) od czasu do czasu zrywały się przy drodze, ożywiając cokolwiek ciszę tej smutnej i pępnej pustyni. Zacząłem palić z dubeltówki. Kanonada szła aż do Nachiczewania, step bowiem ciągnął się pięć mil i do samego miasta przypierał. Z kilku zabitych kur nie miałem wielkiej pociechy, bo pokazało się później, że upieczone, smak miały szkaradny i twarde były jak

lyko. Nic dziwnego że są tak nieostrożne: goły nie boi się rozboju.

Otóż i jestem u celu podróży, na miejscu gdzie Noe miał pierwszy nocleg po wyjściu z arki, w starożytnym mieście Nachiczewaniu. Starzy armeńscy kronikarze cuda rozpowiadają o dawnej jego świetności i utrzymują, że miało niegdyś aż 50,000 domów. To pewna, że jeszcze w IV wieku naszej ery było ich 18,000 i że było to jedno z najhulan dło wniej szych miast na ziemi. Dziś jest to szeroko na wzgórzu wśród ogrodów rozsypane miasteczko, ubogie i puste, zaledwie 5000 mieszkańców liczące, 1500 Ormian, reszta Persów. Czas i silne trzęsienia ziemi, często się tu przytrafiające, zatarły zupełnie staroarmeńskie pomniki; wszystkie dziś wśród miasta posepnie sterczące ruiny, są to mahometkańskie już zabytki.

Upały tu straszliwe i niedziw, toć to prawie jedna geograficzna szerokość z Mesyną i Lizboną.

Rzeka Nachiczewanczaj, dążąc ku Araksowi, zasilą wodą osiemdziesiąt cztery winnice. W stronie północnej miasta pilnują się Nachiczewanczaju, aż do gór darałagezkich, armeńskie wioski i u-

prawne pola, na których białą się porozpękane bawełniane torebki. Na wschodzie o mil 3 jeżą się na widokregu kończate, ciemne turnie, gałęz gór karabachskich, skalnych kozłów siedziba. Na

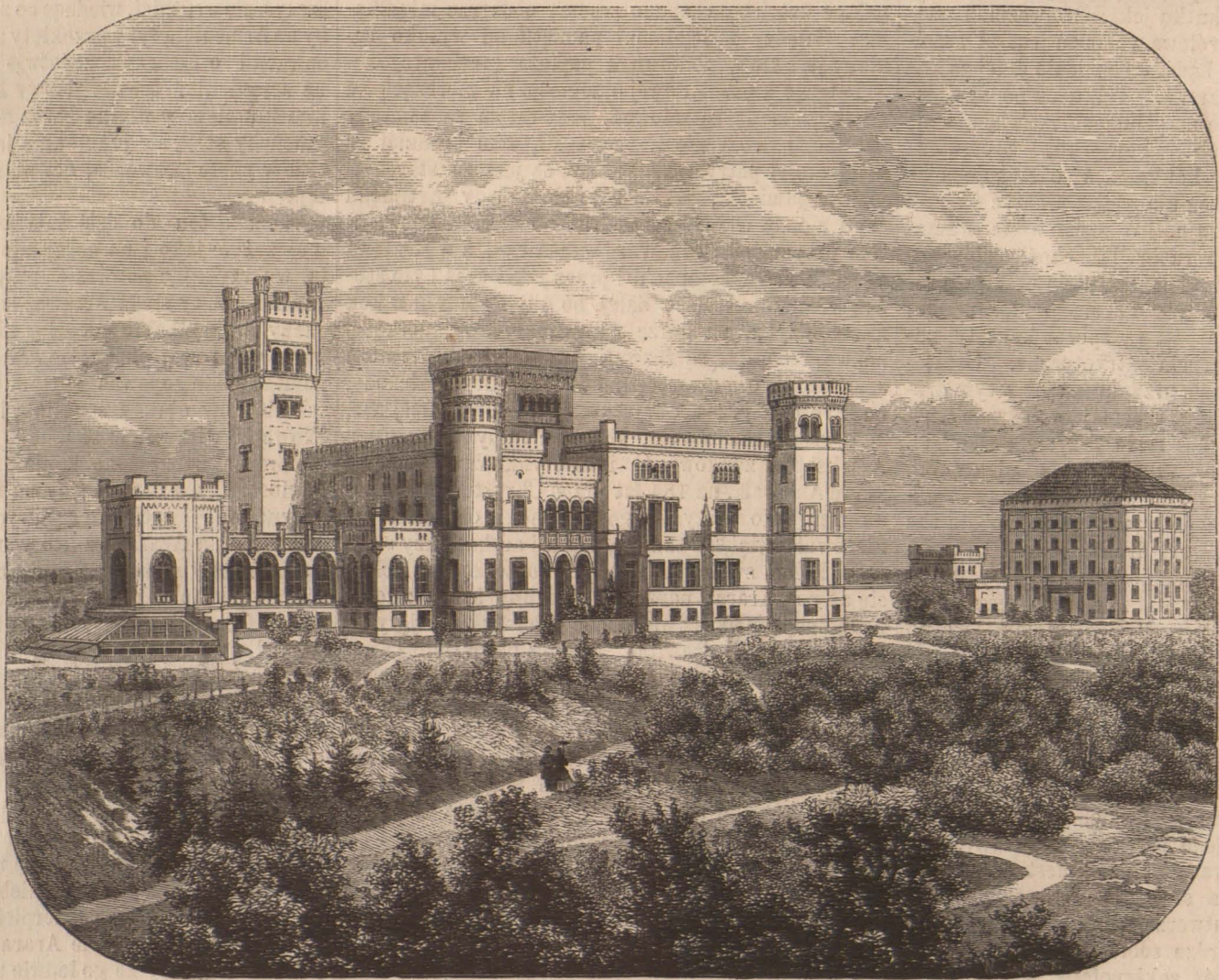
skiego nie widać. Dopiero gdy na wiorstę może przed wsią droga, łamiąc się raptownie, już prosto zbiega ku niej, widok ożywia się i traci dotychczasowy poważny, ale zbyt surowy charakter.

U stóp widza, przed samą wsią, w poprzek drogi wiję się w setnych zakrętach czysty, wązki strumień, ujęty w szerokie ramy prześlicznej zieleni, ciągnące się jak okiem sięgnąć w prawo i w lewo, a dźwigający nad sobą stereotypowy, urzędowy, w białe i czarne pasy malowany mostek. Za mostkiem i smugiem zielonym po prawej stronie żwirówki, u stóp góry pałacowej, na jej tle ciemno-zielonym bieleje gromadka ładnych, piętrowych, murowanych domków dla służby i mieszkańców; na lewo, na sztucznie usypanym wzniesieniu, szarzeję gotyckie mury świeżo skończonego kościołka, którego wieża śpiczasta dziwną lekkością, wystrzela na tle błękitnym i błyska krzyżem złożonym.

O kilkanaście sążni dalej, minąwszy plebanię i stacyą pocztową, żwirówka łagodnym łukiem wychyla się na lewo, okrążając wzgórze około 200 stóp wysokie, na którym pośród krzewów, kwiatów i trawników rozpięra się pałac.

Taki jest ogólny widok tej wsi, która po ukończeniu rozpoczętych lub zamierzonych robót, będzie niezawodnie najpiękniejszą i najwspanialszą rezydencyą w Prusach Zachodnich. Bliższe przypatrzenie się szczegółom i wykończeniu, oraz rozmaitym planom w trakcie wykonania będącym, których poznanie zawdzięczam uprzejmości dyrygującego robotami budowniczego p. Lorenza, utwierdziło mnie w tém przekonaniu.

(Ob. dodatek).



ZAMEK W JABLONOWIE.

południowym zachodzie, o dobre pół mili, wśród błot i trzcin, płynie szeroko rozlany Araks, dążąc ku starożytnej Dżulpie, o parę mil ztąd odległej, gdzie są resztki mostu zbudowanego przez Rzymian, o którym Wirgiliusz powiedział:

Et pontem indignatus Araxes....

Nie obejrzałem tej ciekawej, starożytnej pamiątki, bo zbyt krótki był na to czas mego pobytu w Nachiczewaniu; ale zato zwiędziłem budowlę jeszcze ciekawszą, bardzo blisko od miasta w stronie południowej stojącą. Jest to skromna kapliczka, widocznie część pozostała z jakiejś większej budowli. Schodzi się do wnętrza po kamiennych schodach. Wewnątrz niema nic, prócz pustych ścian i jedyne kamiennego filaru w pośrodku, na którym opiera się sklepienie. Do tej kapliczki co święto zbiega się lud okoliczny, a nawet mieszkańcy dalszych stron ze czcią ją nawiedzają, bo cała Armenia wierzy, że pod tym kamiennym filarem jest grób Noego. Niema na to piśmiennych dowodów; jako świadkowie stają tylko tradycja jednego z najstarszych ludów i Ararat, o mil dwanaście w stronie północno-zachodniej bielejący się jak senne wdziało na niebie bez chmurki.

KONIEC.

J a b ł o n o w o .

Kto w ostatnich paru latach jechał wyborań i z prawdziwie niemiecką starannością utrzymaną żwirówką z Brodnicy ku Grudziązowi, ten po przebyciu dobrej mili od pierwszego z tych miasteczek, uderzony być musiał imponującą masą murów, widnych przeszło o milę z tej strony, a z innych o mil dwie i trzy.

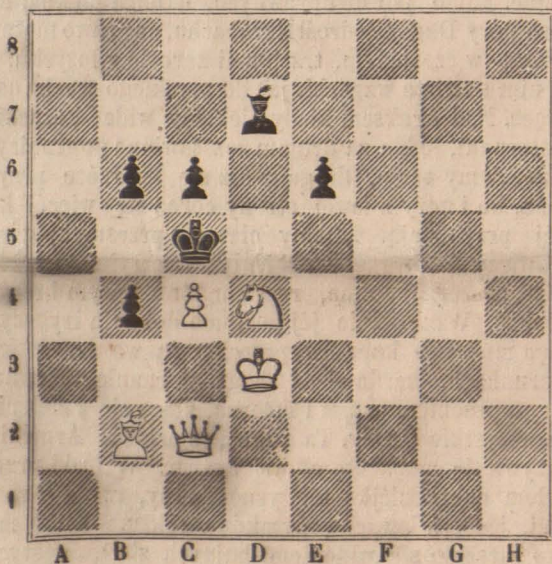
Zapytany pocztylion, odpowiedź, że to jest „zamek“ jabłonowski. Rzeczywiście, pałac ten, który zdala wydaje się samotny i odosobniony, samotnością tą, ogólnemi zarysami, wieżami o strzępionych gzymsach, przypomina stare obronne kastelle. Ani domów, ani zabudowań, ani kościołka miej-

S z a c h y .

ZADANIE CCCXLIII.

Białe zaczynają i dają mata za 3-ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 342.

Białe.

Czarne.

- 1) B5—H5† 1) C8—G4.
- 2) Król roszuje na prawo . 2) E3—E2.
- 3) B2—B3† 3) E4—E3.
- 4) C4—D5† i mat.

W zadaniu tém domyśleć się trzeba, że białe dały czarnym wieżę for i że z tego powodu król biały nie utracił prawa roszowania, chociaż bez wieży.

Pierwsze dobre rozwiązanie nadesłał pan S. M., uczeń Szkoły głównej, i jemu też nagroda przyznana została; drugie p. M. F., trzecie p. S. z powiatu częstochowskiego. Wszystkie inne, bardzo licznie nadesłane, rozwiązania były mylne.

R e b u s .



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 386.

Silacz bez głowy szaleje,
Mędrzec bez siły mdleje.

(Dodatek).

Najnowsze odkrycia, wynalazki i spostrzeżenia naukowe.

(Dalszy ciąg.)

Wzniesienie, które dla jadącego od strony Brodnicy zdawało się jedną górą, przerzniete jest dwoma wąwozami spadającymi prostopadle do zwirówki i rzeczywiście tworzy trzy góry. Z położenia tego skorzystano bardzo szczęśliwie. Na środkowej górze wzniesiono pałac, a na wszystkich trzech rozpostarto park angielski. Jeden z wąwozów, napełniony torfem bagnistym, zmienia się obecnie w staw obszerny, usiany wysepkami, ocieniony brzezina i jodłami. Tuż za stawem na stoku góry, wprost pałacu, ale znacznie od niego niżej, wznoszą się w stylu nowo-francuzkim obszerne zabudowania ogrodnicze.

Ogród zresztą dość młody, ale zarysowany z wielką umiejętnością i gustem, domyślać się tylko pozwala, czem będzie w lat kilkanaście.

Sam pałac, jak to z rysunku widać, w stylu anglo-saskim, który płodami swemi ozdobił brzegi Elby i Tamizy, wykończony z niezmierną precyzją, poważnymi konturami swemi wybornie się nadaje do miejsca na jakim stanął i ram jakie mu natura stworzyła. Wewnętrzne jego urządzenie, gustem bez zbytku krzyczącego, a razem wygodą, nie tylko wyrównywa, ale przewyższa to, co zewnętrzne formy obiecywać się zdają.

Ale, zdaniem mojem, wyższym jeszcze pod względem estetycznym od pałacu, jest kościółek. Małeńkie to, pełne prostoty, ale tak harmonijne, tak smakowne, z takim wykończonym poczuciem prawdziwego piękna, że zasługuje na nazwę małego arcydzieła w swoim rodzaju. Widziałem wiele bogatszych kościołów wiejskich, ale ani jednego artystycznie piękniejszego.

Zewnętrzny jeszcze formom zarzuciłby można brak lekkości i nieproporcjonalność zbyt małej nawy z wieżą, która znów wzięta osobno, jest bardzo ładna. Już to gotyckie budowle mają to do siebie, że albo muszą być czemś jak kolońska katedra, albo zdają się ciężkie i niedość pnać się w niebo... Jest to styl dostępny tylko masom i wiekom; pojedyncze siły zbyt małe na takie prace olbrzymie.

Ale zato wnętrze kościołka w Jabłonowie prześlizne. Na tle szarawem, w półświatle różnokolorowem stoją trzy ołtarze, ambona i konfesyonały, rzeźbione przez prawdziwego artystę, lakierowane na kolor kości słoniowej i bardzo skromnie złoczone. Sto dwadzieścia przeszło figur rozmaitej wielkości wychyla się z pomiędzy mnóstwa wieżyczek gotyckich. Niektóre z nich układem i wykończeniem przypominają najlepsze wzory, a żadna nie razi uderzającymi błędami. Sześciu patronów polskich, $\frac{3}{4}$ i $\frac{1}{2}$ naturalnej wielkości, zdobi wielki ołtarz; antepedium jego ozdobione wieczerzą Pańską w płaskorzeźbie, będącą wierną prawie kopią sławnej wieczerzy Wita Stwosza.

Co zaś uważam za rzecz najważniejszą, to że ogół tego wnętrza robi odrazu i utrzymuje do końca niezmiernie miłe, uspokajające wrażenie; nie tu krzyczącego, nie coby się gwałtownie w oczy rzucało, coby psuło prostotę i harmonię. Wszystko się ze sobą wiąże i zlewa, szczegóły odpowiadają całości, całość niezaczemiona szczegółami; nie tu ująć, nie dodać niepodobna.

Jabłonowo, nabyte od rządu pruskiego w pierwszej ćwierci bieżącego stulecia przez p. Karwata, wraz z córką jego a dzisiejszą właścicielką, przeszło w rodzinę Narzyskich. Już około 1480 roku Paprocki, a za nim Niesiecki, kładzie Tomasza Narzyskiego w spisie kasztelanów płockich; kilku innych w XVI i XVII wieku siedziało na różnych krzesłach kasztelańskich, a jeden, Jakub na Niedźborzu i Bogatem, przyjaciel sławnego wojewody lubelskiego Adama Tarły, na początku drugiej połowy przeszłego stulecia umarł wojewodą pomorskim.

Przed niespełną dwadziestu laty przejeżdżałem tą samą drogą. Była to wtedy wieś jak inne, na pozór nawet od innych uboższa. Gdzie dziś śliczny kościółek się wznosi, stał wówczas inny, lichy, drewniany, chyłący się ku ziemi; gdzie pałac i park, sterczały góry jałowe, nieuprawne, i na jednej z nich tylko stał dworek o dwóch oknach, z małym owocowym ogródkiem; gdzie piętrowe dziś domki bieleją, czerniały wtedy stare, o słomianych podartych dachach chałupy.

Dowód co może praca, wytrwałość, poczucie piękna i smak wykształcony. A. K.

Wiadomo jaki nieporządek sprawia w telegraficznych przyrządach burza; elektryczność atmosferyczna przepelnia druty na linii i oddziałuje na aparaty, które wcale wtedy nie funkcjonują, albo też bardzo słabo. Narzędzi służących do zapobiegania temu jest wiele, ale te po większej części nie są w stanie przeszkodzić wpływowi elektryczności w ziemię. Dla zaradzenia podobnym niedogodnościom, p. Bertsch wymyślił dwa małe piorunociągi, działające doskonale. Pierwszy zapewnia prądom wielką regularność, niszcząc nieustannie na drutach linii wszelki ślad natężenia elektrycznego. Umieszcza się go na słupach, u wejścia tuneli, słowem wszędzie gdzie należy obawiać się skutków zaburzeń elektryczności atmosferycznej; może nakoniec pozostawać równie w wodzie jak na powietrzu, nie sprowadzając najmniejszych przerw w biegu strumieni. Przyrząd cały składa się poprostu z podwójnej szcztolki z kolcami metalowymi, przez które nadmiarowa elektryczność spływa, o czem błyszcząca ustawicznie między niemi siatka świetlna przekonywa. Drugi przyrząd, nazwany przez wynalazcę *Piorunociągami z drutami kolejnymi*, umieszcza się między drutami linii a aparatami; działa on wtedy, gdy pierwszy niedostatecznym się staje. Jest to rodzaj rolki, na której w kierunku osi napięto 12 drutów metalowych; gdy nagromadzona zbyt mocno elektryczność stopi pierwszy drut, rolka natychmiast sama przez się robi obrót. Drugi drut wtedy znajduje się w związku z drutem linii, gotów przyjąć powtórne wyładowanie, po którym następuje nowy obrót rolki i wysunięcie trzeciego drutu, i tak dalej aż do dwunastu razy, jeżeli burza jest silną i długotrwałą. Po stopieniu zresztą ostatniego drutu, sam przyrząd ułatwi komunikacją drutu linii z ziemią i zabezpieczy od wypadku. Pod każdym drutem rolki znajduje się także kole; przyrząd przeto może działać nieustannie jak pierwszy, który moglibyśmy nazwać *wyładownikiem*.

Według opinii komitetu ulepszeń linii telegraficznych, nowy przyrząd jest szesnaście razy silniejszym od dotąd używanych; wybory to więc nabytek dla służby telegraficznej.

Za pomocą przyrządu p. Gaiffe, każdy może powtórzyć piękne doświadczenia z elektrycznością, które wzbudziły niedawno powszechne zajęcie w Sorbonnie. Magiczne pudełko wynalazcy zawiera w małej przestrzeni umiejętnie zestawione narzędzia i preparaty. Otwórzmy je: oto małe naczynie porcelanowe, z pokrywą opatrzoną na wierzchu dwoma guziczkami metalowymi, mieszczące w sobie blaszkę węgla i blaszkę cynku; obok bańka z czarniawym płynem, to jest z roztworem dwuchromianu potażu, zaostzonego kwasem siarczanym. Wlejmy płyn w naczynie, połączmy dwa druty metalowe z guziczkami, a utworzymy w mgnieniu oka potężny rodnik elektryczności, gdyż za zbliżeniem drutów wytryskiwać będzie iskra świetna, błyszcząca. Oto rolka Ruhmkorffa; skomunikujmy ją ze stosem, a strumień elektryczny natychmiast przebiegnie z głuchym trzaskiem, i za dotknięciem przewodnika metalowego, doznamy silnego wstrząśnienia w organizmie. Pięć jeszcze rurek szklanych, ustawionych rzędem, znajdujemy w pudełku p. Gaiffe. Pierwsza z siarczykiem baryum; za przepuszczeniem iskry przez rurkę, proszek w niej zawarty mocnym światłem zabłyśnie. W drugiej rurce, która równie jak pierwsza pozbawiona jest powietrza, dla usunięcia oporu w przebiegu iskry, dostrzeżemy szereg prążków świetnych i prążków czarnych, z towarzyszeniem trzasku charakterystycznego. Trzecia zawiera w sobie rząd drobnych kulek ze szkła uranu, które ma własność rzucania blasków zielonych przy oświetleniu elektrycznym; na jednym końcu, odpowiadającym biegunowi ujemnemu, strumień objawia się w przepysznej barwie fioletowej, w drugim zaś, odpowiednim biegunowi dodatniemu, błyszczą kolorem czerwonym. Czwarta rurka, napełniona roztworem siarczanu chininy, otacza maleńką rurkę spiral-

ną, przez którą przepływa iskra; siarczan chininy wydaje wtedy piękne promienie niebieskie, rurka zaś środkowa wężykowatą torsadę lazuru. Ostatnia nakoniec rurka mieści wewnątrz urnę ze szkła uranu, która w chwili obiegu strumienia rzuca światło szmaragdowe, otoczone ze wszech stron prześlicznymi kłosami czerwonymi.

Pozostaje nam poświęcić kilka wierszy rurkom kameleonowym. Wiadomo że wiele materij, po wystawieniu poprzedniem na słońce, zachowuje szczególną własność świecenia w ciemności. Dyament, wystawiony na promienie słoneczne zaledwie przez kilka sekund, objawia fosforescencją trwającą niekiedy całą godzinę; niektóre kwiaty, naprzykład powoje, zachowują się podobnie, równie jak większa część materij wapiennych, jako to: węgiel wapna, gips, skamieniałości, muszle, konchy, perły i t. p. Do tego działu zaliczają się także niektóre materye organiczne: mączka, cukier, gumma, wosk biały, żywica. Fosfor kantoński, rozlewający tak żywy blask żółty w ciemności, że dostrzedz pozwala godzinę na zegarku, jest tylko siarczykiem wapienia, otrzymanym przez ogrzewanie z siarką utartych na proch skorup ostrygowych wypalonych; fosfor buloński, błyszczący w ciemności przeszło 24 godzin, jest siarczykiem baryum, otrzymanym przez wypalenie mieszaniny siarczanu barytu i gummy.

Gaiffe w małym pudełku umieścił szereg rurek napełnionych siarczykami baryum, stroncym i wapienia, zmieniwszy stopniem wypalenia stan ich atomistyczny. Rurki te, wystawione na działanie promieni słońca, a następnie przeniesione do ciemni, rozlewają mocne światło różnokolorowe. Żywość barw jest tak znaczna, że można czytać pismo mniej nawet wyraźne. Światło magnezium wywołuje również fosforescencją. Skoro odrobinę tego metalu zapalimy przed rurkami w ciemności, przybierają one natychmiast charakterystyczne swe kolory. Doświadczenia są najdzielniejszym środkiem rozpowszechnienia nauki. Za pomocą przyrządów Gaiffe'a, każdy z łatwością obznajmić się może ze zjawiskami elektrycznymi, które żywe słowo nauki uzmysławiają.

* * *

Mniemano dotąd że para termo-elektryczna, otrzymana przez związek bizmutu z aliażem dwóch części antymonu i jednej części cyny, jest najdzielniejszą; niedawno jednak sławny chemik z Heidelbergu Bunsen, odkrył, że piryt miedziany w stanie naturalnym mieści się w rzędzie ciał termo-elektrycznych wyżej bizmutu. Przez połączenie blaszki pirytu z aliażem antymonu i cyny, albo poprostu z miedzią, stos dawać będzie prądy silniejsze od dotąd znanych. Bunsen używa placki pirytu naturalnego, 7 centymetrów (blisko 3 cale pol.) długiej i tyleż grubości mającej, opatrzonej dwoma kołeczkami kształtu nieco stożkowatego, średnicy około 9 milimetrów (prawie $4\frac{1}{2}$ linii) z miedzi platynowanej, odsadzonej od siebie w odległości 35 milimetrów (1,456 cala). Przedłużenie kołeczka górnego służy do ogrzewania go w płomieniu gazu wtedy, gdy kołeczek dolny zanurzony jest w zimnej wodzie. W doświadczeniach z tą parą odbywanych, woda po rozgrzaniu okazywała temperaturę 60°, według ciepł. 100 stopniowego. Stos o 10ciu parach podobnych wyrównywał jednemu elementowi Daniela, o 14 centymetrach powierzchni czynnej. Para z pirytu i miedzi jest w skutkach dziesięćkroć silniejszą od pary z bizmutu i antymonu złożonej.

Wypadki Bunsena pobudziły p. Edmunda Becquerele do poszukiwań na téjże drodze, z równie pomyslnym rezultatem. Według niego, siarka należy do ciał wpływających najdzielniej na siłę termo-elektryczną metalów, czyniąc takowe bardziej dodatnimi lub ujemnymi. Siarczyki srebra, antymonu, cynku, żelaza nie wywierają żadnego działania godnego uwagi, lecz siarczyk bizmutu okazuje się mocniej ujemnym niż sam bizmut. Przewodniki oporowe łatwo otrzymać można z pomieszania w równych częściach bizmutu z siarczykiem bizmutu; para zaś utworzona z siarczyku bizmutu i z miedzi, jest trzy razy silniejszą od zwykłej pary z bizmutu i miedzi złożonej.

Siarek pierwszy miedzi jest silnie dodatnim, po stopieniu w temperaturze nieco wyższej od punktu jego topliwości i wylaniu w ten sposób, aby otrzymane sztabki przedstawiały rozłam włókniasty; topio-

ny zaś kilkakrotnie w wysokiej temperaturze, traci siłę termo-elektryczną. Fakt ten zgadza się ze spostrzeżeniami Bunsena nad pirytem naturalnym; wiadomo zresztą że ciała przewodnikowe, mające rozłam krystaliczny, okazują największą działalność, gdy przeciwnie budowa ich zbyt równa nieodpowiednią jest do wywoływania prądów termo-elektrycznych. Widocznie przeto układ atomistyczny gra w tych zjawiskach przeważną rolę, a zmiany zachodzące w skutek hartowania i kowania metalów modyfikują warunki termo-elektryczne ciał, co wszystko jest niezmierniej wagi dla teorii prądów. Para z pierwszego siarku miedzi i miedzi złożona, w temperaturze od 0°-100° okazuje siłę termo-elektryczną dziesięćkroć wyższą od pary z bizmutu i miedzi utworzonej; tlenik manganu w tej mierze mieści się pomiędzy siarczkiem miedzi i antymonem. Według Becquerela para z pirytu i miedzi jest słabszą od pary z siarczku miedzi i miedzi, jakkolwiek gatunek użytego pirytu wiele na jego własności wpływa.

Z tego cośmy wyżej powiedzieli wynika, że piryt naturalny (niestopiony) i siarek 1y miedzi, stanowią dwie ostateczne granice w szeregu ciał termo-elektrycznych. Odkrycie tych nowych stosów ma wielką doniosłość praktyczną, usunie bowiem używanie stosów hydro-elektrycznych, mniej wygodnych i słabszych, a stacyom telegraficznym może oddać ważne usługi.

P. G. F. Ansell podał niedawno sposób wykrycia wodoru węglowego w kopalniach i oznaczania jego ilości. Gazy, jak wiadomo, składają się z nadzwyczaj drobnych atomów, będących w ciągłym ruchu szybkim lub powolnym, odpowiednio do ciężkości gatunkowej gazu poddanego doświadczeniu. Atomy jednego gazu, mogą swobodnie przechodzić w atomy drugiego; tworzy się ztąd doskonała mieszanina dwóch gazów, z których każdy zachowuje ruch sobie właściwy. Ciała mniej dziurkowane, jak kauczuk, grafit sztuczny, porcelana, nie wstrzymują tego ruchu; gaz miesza się z drugim gazem, lub przelęwa w daną przestrzeń, w stosunku odwrotnym pierwiastku kwadratowego z jego ciężkości gatunkowej. W zastosowaniu tego prawa do wykazania obecności gazu w kopalniach, Ansell używa bańki kauczukowej o cienkich ścianach, wypełnionej powietrzem atmosferycznym, którą umieszcza pod ramieniem drążka. Przyrząd ten, wniesiony do kopalni zawierającej gaz, powiększy swoją objętość odpowiednio do prawa wyżej określonego, a skutkiem tego poruszy ramię drążka, komunikujące z prądem galwanicznym, który wprawia w ruch dzwonek ostrzegający robotników o niebezpieczeństwie. Z ustępowaniem gazu bańka zwęża się i sygnał przestaje się odzywać. Gdy zachodzi potrzeba zawiadomić górników o nagłym nagromadzeniu się gazu, Ansell posługuje się stosem o naczyniach dziurkowatych, ostrzegających za pośrednictwem małej kolumny merkuryszu. Działanie tego narzędzia jest dokładne i nieomyślne. Dopóki kopalnia nie oczyści się, kolumna zatrzymuje się na O, poczem dopiero od tego punktu się oddala.

Nie możemy przytém pominąć sposobu uniknięcia nieszczęśliwych wypadków w kopalniach, podanego przez p. Alfonsa Gairaud. Polega on na niszczeniu wodoru węglowego za pomocą iskry indukcyjnej przyrządu Ruhmkorffa. Wtym celu w każdej galerii gdzie gaz gromadzić się może, urządzi się podwójny drut przewodnika, pokryty kauczukiem i zakończony kawałkiem porcelany, przez którą w dwóch punktach odmiennych przechodzi drut platynowy, przerwany zewnątrz, dla otrzymania iskry indukcyjnej. Druty ułożone są jak przy telegrafach i można je osłaniać rurą miedzianą, dla zabezpieczenia od wszelkiego uderzenia. Przyrząd indukcyjny Ruhmkorffa, ze stosowną liczbą elementów Bunsena, połączonych z 10 lub 20 podwójnymi drutami, wystarcza do wydania iskry w danych punktach i sprawienia wybuchu oczyszczającego powietrze. Każdego dnia przed wejściem do kopalni należałoby wpuszczać tamże kilkanaście iskierek indukcyjnych. Jeżeli wybuch nastąpi, gaz zostanie zniszczonym i nieszczęście odwróconem; jeżeli zaś po kilkakrotnych próbach eksplozja nie ma miejsca, można się już śmiało w podziemia zapuścić.

Urządzenia pp. Ansell i Gairaud zasługują na

wprowadzenie wszędzie; zabezpieczenie życia klasy pracującej od straszliwych katastrof gazu, jest najpiękniejszą chlubą wynalazców, a wartość ich przyrządów wyrównywa największym odkryciom naszego wieku.

* * *

Gazolampa Mille'a jest pierwszym przyrządem, który bez pomocy ognia i środków mechanicznych, zamienia otaczające powietrze atmosferyczne w gaz palny, zdolny równie do ogrzewania jak oświetlania. Gazolampę zasilają olejki z nafty otrzymywane. Ulatniają się one poniżej 100 stopni. Ciężkość ich gatunkowa, w stosunku do ciężkości gat. wody wziętej za 1000, wynosi od 650—720; nie zawierają też żadnego kwasu tłustego i używane są zwykle w miejsce olejku terpentynowego, który drożał znacznie od czasu wojny amerykańskiej.

Gazolampa może być przenośna lub stała. Pierwsza składa się głównie z dwóch zbiorników półsferycznych, prostokątnych, albo też walcowatych: zewnętrznego z cynku, blachy białej lub miedzi, i wewnętrznego z żelaza lub miedzi, napełnionego kawałkami pomeksu, koks, bawełny i t. p. ciał dziurkowatych. Do tego ostatniego wlewa się olejek nafty w takiej ilości, aby ciała w zbiorniku wewnętrznym zostające nasyściły się nim, lecz nie zbyt. Powietrze atmosferyczne prostem swym ciśnieniem i siłą rozpraszania się wchodzi przez otwór zbiornika wewnętrznego, przepływa przez ciała dziurkowane, nasyca się parami wodoru węgla, przetwarza się w gaz cięższy od powietrza, a tęp samem opuszcza się na dno zbiornika i drugim otworem dostaje się do rurki kauczukowej lub metalowej, prowadzącej do kranu, gdzie będzie palić się jasnym, mocnym płomieniem. Gdy chodzi o urządzenie wielkiego rezerwoaru, zbiornik wewnętrzny dzieli się na kilka przegród, przez dodanie daszków metalowych horyzontalnych. Główną zasadą w takim urządzeniu jest ułożenie dziurkowatych ciał niezbyt ściśle, aby wchodzące powietrze mogło je obejmować ze wszystkich stron. Gazolampa przenośna daje dwie bardzo ważne korzyści: 1) olejek nafty, nie będąc w niej w stanie płynnym, nie może się rozlewać i zapalać; 2) przy użyciu jej nie ma żadnej obawy eksplozji, zbiornik bowiem zawiera zbyt małą ilość powietrza, aby mogła się utworzyć mieszanina wybuchająca. Zastosowania tego przyrządu są bardzo liczne; oświetlać nim można wagony drogi żelaznej, statki, mieszkania prywatne. Lampy olejne zwykle na gazolampę z łatwością przerabiać się dają.

Gazolampa stała składa się z kilku cylindrów płaskich, o szerokich powierzchniach, z blachy żelaznej lub z cynku, oddzielonych od siebie podstawkami również cylindrowymi. Średnica cylindrów jest dowolna, wysokość zaś nie powinna dochodzić 2ch cali. Mieszcza one w sobie olejek nafty lub benzyny. Podstawki nietylko służą za podpory cylindrom, ale w razie potrzeby spiesniejszego utworzenia gazu wypełniają się wodą gorącą. Cylindry kolejno idące od góry do spodu, są w związku z sobą za pomocą rur kauczukowych lub metalowych. Każda z tych rurek wychodzi z otworu dokładnie przeciwnego temu, przez który powietrze mające nasycać się parami, albo już nasycone, wchodzi w cylinder. Okręca się ona następnie około tegoż, schodząc w cylinder niższy. W ten sposób powietrze, dostawszy się do 1go cylindra, obiega powierzchnię płynu i wpływa do 2go, a wreszcie do 3go cylindra. Za pomocą tego przyrządu lekkie olejki nafty lub benzyny, w jednej chwili wszędzie zmieniają się w gaz, bez udziału ciepła, gazometru, wentylatora i rezerwoaru z powietrzem wciskanem, co nie przeszkadza bynajmniej do posługiwania się którymkolwiek z tych środków, gdy chodzi o otrzymanie gazu ciśnienia wyższego od prężenia atmosfery. Wprawdzie w tęp ostatniem urządzeniu olejki są w stanie płynnym utrzymywane, niedogodność tę wszakże stokrotnie wynagradza możność otrzymania w potrzebie wielkich ilości gazu i rozprawienia go na punkta bardzo odległe.

Gaz z przyrządu Mille'a palący się bez knota jest mieszaniną około 90% powietrza i 10% pary naftowej. W miarę podwyższania zbiornika, ciśnienie jest większe, a tęp samem gaz silniej wypływa. Według doświadczeń wykonanych przez p. Mansuy na rozległą skalę, okazało się, że wysokość zbiorni-

ka 6 metrów wynosząca wystarcza, aby gaz utworzony z przepływu powietrza, obiegając rurę o słabym spadku kilkakrotnie zagiętą horyzontalnie lub prostopadle, dosięgać mógł bardzo znacznych odległości i zasilać na wszystkich punktach krany, dające światło jaśniejsze od gazu zwykłego i o ciśnieniu daleko wyższem. W nowym systemie oświetlania Mille'a, samo powietrze nasyca się odpowiednią ilością par wodoroweglowych, dla przetworzenia się w piękny gaz, palący się bez dymu i osadu, niepsujący rur kauczukowych równie jak metalowych i nieskraplający się w płyn. Prócz tego gazolampa służyć może do zasilania motoru Lenoir'a, owego bogatego źródła siły mechanicznej. Prostota, czystość, bezpieczeństwo, oszczędność, są głównymi korzyściami nowego wynalazku. Koszt palenia się w kranie przez godzinę wynosi tu zwykle od 4—5 centymów; zadanie przeto produkowania taniego gazu oświetlającego, jest rozwiązaniem za pomocą przyrządu Mille'a.

(Dokończenie nastąpi).

Przegląd teatralny.

Teatr Rozmaitości. — Ofiary majątku, komedia w trzech aktach Edmunda Gondinet, z francuzkiego tłumaczona.

Ofiary majątku! W naszym wieku dziwnie brzmi to wyrażenie, a jednak nie zbrakłoby mu na prawdzie jeżeli nie bezwzględnej, to stosunkowej przynajmniej, byleby tę prawdę zrecznie umieć wyszukać. Majątek, jak władza, jak rozum, jak talent, jak wiele innych przywilejów z natury albo biegu okoliczności nam nadanych, które my za dobrodziejstwa uważamy, staje się nieraz źródłem wielu niedogodności, trosk, utrapień. Taka ciemna strona bogactwa posłużyła już wielu autorom za tło, na którym snuli dramatyczne lub powieściowe swoje fantazy, tęp lepiej i tęp sympatyczniej przyjęte przez większość widzów lub słuchaczy, że są dla nich niejako pociechą, wskazując że i dla tych którym przywykli zazdrościć pomyślniejszego materialnego położenia, niezawsze droga różami jest usłana. Ale żeby takich kwestyj zwycięzko się dotknąć i jeżeli już nie prawdę, to przynajmniej prawdopodobieństwo z nich wydobyć, trzeba na to głębszego filozoficznego poglądu, albo talentu, albo dowcipu, jednym słowem trzeba choć trochę tego wyższego tchnienia, które wlewa życie w utwory imaginacyi. Tu już czysty realizm, służący tegoczesnym autorom dramatycznym za pomoc i wskazówkę, nie wystarcza bynajmniej, należy bowiem nietyle brać z natury, ile naginać ją do celu przez nas obmyślanego.

Przyznajemy że w przekładzie tej sztuki na scenie teatru Rozmaitości odegranej, po pierwszy raz spotkać nam się przyszoło z nazwiskiem p. Gondinet. Widocznie jednak musi to być jeden z tych mniej więcej zrecznych robotników, którzy zapełniają teatru francuzkie utworami odznaczającymi się umiejętnością mechanicznego obrobienia, bez głębszej scenicznej wartości. Sztuka ta w Paryżu, przez tamecznych odegrana artystów, mogła mieć powodzenie, zależne głównie od chwilowych reminiscencyj jakie następczała widzom. U nas przymiot ten, jeżeli to przymiotem nazwać można, znika prawie zupełnie, a pozostaje naga i sucha kanwa, wyszyta złotem i różnymi dochodów rentowych, summ posagowych i różnych handlowo-mażeńskich wyrachowań. Bezużytecznym byłoby opowiadać nawet treść tego zadania arytmetycznego, podzielonego na akty i sceny, które nie poprawi nikogo i nikogo nie nauczy, bo wszystko tu naciągnięte do usprawiedliwienia tytułu, który się autorowi wydał szczęśliwie pomyslanym. Jest to trzyaktowa konkurencja do ręki panny Joanny de Signeris, którą dwa miliony posagu unieszczęśliwiają do tego stopnia, że zaledwie tylko pomyślnemu zbiegowi okoliczności następczonemu przez komedyopisarza, zawdzięcza sposobność oddania ręki Oktawiuszowi de Brigny, ukochanemu przez siebie, chociaż ubogiemu przyjacielowi lat dziecinnych.

Wykazawszy niedostatki tej komedii, winniśmy zwrócić uwagę i na jej przymioty, które niezawsze napotykać się dają w dzisiejszych utworach francuzkiego komedyopisarstwa. Głównym więc przymiotem, który podał zapewne tłumaczowi myśl przyswojenia tej sztuki naszemu językowi, jest wielka miara

i trzeźwość w ogólnym jej tonie, okazująca się nie tylko starannym unikaniem wszelkich dwuznacznych wyrażań, ale nawet zbyt drażliwych sytuacji, które często gorzej od wyrażań wpływają na uniemożliwienie utworów scenicznych. Czujemy się w dobranym towarzystwie i nie wychodzimy z niego ani na chwilę, bo nawet Rochemure, bogaty przedsiębiorca, opiekun Joanny, również kozieł ofiarny posiadanych przez siebie milionów, którą to rolę starannie, choć czasem zbyt szorstko jak na frakowego przemysłowca, oddał pan Ostrowski, jest śmieszny, a nie karykaturalny. Dwie panny na wydaniu, Leontyna córka Rochemur'a i Joanna jego siostrzenica, to dwa sprzeczne zupełnie charaktery dziewczyny umiejaczej już rachować za przykładem ojca i romansowej trochę bohaterki, szukającej w koło siebie bezwzględnej miłości, która w dzisiejszych giełdowych czasach tak trudna jest do pochwylenia. Pani Ostrowska zręczną choć przywoitą kokieterią umiejająca przynęcić do siebie Chavanisa, młodego poetę, naturalnie nie dla wierszy, ale dla czterdziestu tysięcy franków dochodu jakie tenże posiada, dobrze się wywiązała ze swego zadania; panna Marya Łapińska zanadto dramatycznie, jak na komedię bardzo prozaiczną w gruncie, uwydatniła niektóre sceny. Dość bezbarwne charaktery konkurentów przypadły panom Świeszewskiemu, Tatarkiewiczowi, Grzywińskiemu i Szymanowskiemu, których grę obszerniej rozbiierać, byłoby rzeczą zbyteczną; powiemy tylko że pierwszy z nich umiejaczej i pełną prawdy grą małą nawet rolę umiejaczej i pełną uczynić, ostatni zaś widocznie okazuje zdolności do zapełnienia u nas braku kochanków z lekką komieczną barwą.

Wacław Szymanowski.

Gawędy ekonomiczne.

2. Zbytek.

W przechadzce bez celu, spotkałem znajomego, który lubił mówić o wszystkim i wszystko po swojemu tłumaczył.

Gawędka z nim, dla samej swój oryginalności, była często ciekawa, tém więcej że z małej okoliczności lubił nieraz wyprowadzać wnioski i obszernie dysertacje.

— Co sądzisz kolego, zapytał, o terażniejszych modach damskich? Kapelusze np. podobne są nieco do angielskich siodełek. Przykrywają tylko ciemię, a resztę głowy oddają na pastwę wiatru.

— Prawda, odrzekłem, że moda jest dziwaczna, lecz do jej dziwactw zanadtośmy już przywykli. Zresztą, skoro damy zdają się chętnie godzić z terażniejszym fasonem kapeluszy, muszą być dla nich dogodne.

— W tym razie masz słusność; wszystko jest dobre, co znajduje ogólne uznanie, i moralisci dziwaczą, chcąc zrobić ludzi maryonkami, słuchającymi ich rozkazów. Moralność zawieleby się trudziła, zajmując się strojami. Ci, co zamierzili naganą i szyderstwem wykluczyć z użycia krynoliny, utrwalili właśnie ich byt i nadali im przez rozgłos taką wagę, jakiej przedtém nie miały. Prawda że moda często dziwaczy, zdarza się często coś takiego, co nie jest ani ładne, ani użyteczne; lecz taka moda sama przez się upada szybko.

— Upada, odpowiedziałem, lecz mimo to i właśnie dlatego że tak szybko upadła, naraziła wielu na niepotrzebne wydatki.

— I cóż ztąd? czy sądzisz że społeczeństwo wiele na tém straciło, iż elegantki wydały paręset rubli więcej? Takie zdanie jest mylne, chociaż dość powszechne. Toż samo dzieje się i w stosunkach ludzkich: co stracił pan X. to zarobił pan W., a społeczności mało na tém zależy, czy pan X. czy też pan W. będzie bogatym, byle tylko bogactwo istniało. Więcej ci powiem: pieniądze, o tyle trafniej odpowiada swojemu przeznaczeniu. Ten co każe bić pieniądze, bije takowe dla wszystkich, i wcale się nie cieszy, gdy obiegnik zwany pieniądzem, zamiast ruchu do którego jest przeznaczony, zostaje w martwym spoczynku.

— Przepraszam, odpowiedziałem, takie zdanie

sprzeciwia się zasadom ekonomiki, która zaleca oszczędność, a potępia wydatki zbyt kowne.

— Stare to są zasady, kochanku, chociaż niezupełnie jeszcze zwietrzałe. Mają one swoją logikę i bezwarunkowo wykluczyć ich niepodobna. Chodzi wszakże o to, że dzisiejsza ekonomika rzeczą tak różnym swoimi celami jak zbytek i oszczędność, nadaje nowe znaczenie. Ogólnie potępiamy od wieków zbytek i dziś uważamy go jako przywarę społeczną, lecz granice jego coraz bardziej rozszerzamy. Zanim pójdziemy dalej, odpowiedz mi, proszę, na pytanie, czy wierzysz w postęp i co pod tém ogólnym wyrażeniem rozumiesz?

— Któżby dziś w postęp nie wierzył? I ja wierzę że jest i być musi; lecz jeśli mamy mówić o terażniejszym postępie, to widzę postęp tylko materii, nie ducha.

— Niech i tak będzie, chociaż nie mogę się zgodzić na wyrażenie. Materia sama przez się nie ma postępu, duch ją przeto ku postępowi kieruje, albo inaczej: sam za pośrednictwem materii postępuje naprzód, i to właśnie naszą epokę cechuje. Widoceznym jest założenie, że materialny postęp dzisiejszy jest przygotowaniem do nowego w przyszłości. Udoskonalona materia poda z czasem dzielniejsze środki do postępu duchowego, którego przedsięwzięciem jest właśnie czas obecny. Bierzmy przeto postęp jaki jest i uważmy, że jego zadaniem jest nadawać użyteczność rzeczom obojętnym i wytwarzać wartości z czynników przyrody codziennie nieomal odkrywanych. W tym nieustannym pochodzie ku rzeczom nieznanym, zaostza się ciekawość do ich użycia. Użycie, jest to wypróbowanie istotnej rzeczy wartości. Przyjmujemy przeto te tylko wynalazki, które wytrzymują próbę użycia; sama wszakże chwila téj próby nie jest jeszcze ostatecznym przyjęciem, i dlatego widziemy tak częstą zmianę przedmiotów w użyciu będących, z których jedne pozostają, inne giną w zapomnieniu.

Ktoby zatem przedmioty nieużyteczne powoływał do życia i zmuszał przez to produkcyą do marnowania sił na ich wyrób, ten bezwątpienia dopuszczałby się zbytku, a zbytek ten byłby szkolidowym nietylko dla niego, lecz jednocześnie i dla społeczeństwa. Lecz jeśli wydaje pieniądze na przedmioty użyteczne, to tylko w tym razie zbytek popełnia, jeśli ich nad miarę kupuje i nad miarę zużywa, bo przez to uboży społeczność, wykupując zawiele i podnosząc cenę, a tém samém czyniąc przedmiot niedostępnym dla wielu uboższych od siebie.

Mówiąc przeto o zbytku, przedewszystkiemu musimy mieć na uwadze wykwinty i nadmierne używanie przedmiotów do pożywienia służących. Uczty rzymskiego Lukulla były zbytkiem, bo raz że w niczem nie przyczyniły się do postępu, w jego moralnym znaczeniu; powtóre, że oglądały biędniejszych mieszkańców starożytnego Rzymu. Toż samo w epoce dzisiejszej kucharz, który dla dogodzenia zachciankom bogacza garncami zużywa masło do jednej potrawy, który marnuje głowy cukru na zrobienie piramidy cukrowej i wiele funtów najpożywniejszego mięsa na zgotowanie pasztetu, — uboży ogół, bo nad miarę potrzebuje produktu, który miał służyć dla wielu, a został spożyty przez jednego, — bo podniósł cenę produktu, a podniósł ją przypadkowo i sztucznie, i chociaż chwilowo zubożył przez to producenta, jednak masę uboższych konsumentów pozostawił bez sposobu dokupienia się podróżonego produktu.

Lecz naodwrot, kto używa ananasów i tym podobnych przysmaków, niekoniecznie dla ogółu potrzebnych; kto zakupuje drogocenne kamienie i wyroby z kosztownych metalów; kto się stroi w jedwabie i dyamenty, ten wzmaga wprawdzie produkcją rzeczy zbytkownych, lecz nie popełnia zbytku w ścisłym tego wyrazu znaczeniu, bo wspiera pracę, z której tysiące rodzin czerpie swoje utrzymanie.

— Nie zgadzam się na to, odparłem. Wyrób przedmiotów zbytkowych jest zbytkiem, w stosunku do nieskończonej liczby konieczniejszych potrzeb. Pracownicy około wyrobów dyamentowych, gdyby nie znajdowali zachęty w kupujących, wzięliby się do innej pracy. Opustoszałyby warsztaty jedwabników lyońskich, lecz natomiast powstałyby szwalnie cieplej odzieży dla biędnych. Wzmogłaby się ilość wyrobów konieczniejszej potrzeby, zniżyła ich cena,

a to ułatwiłoby podział pomiędzy masy spragnione użycia, którym niedostatek środków używać nie dozwala.

— Wielka to prawda, kochany kolego; ale śmiem twierdzić że prawda przedwczesna. Jej ziszczenie chyba wtedy mogłoby nastąpić, gdyby dzisiejszy postęp materialny, spełniwszy swoje zadanie, przygotował odpowiednie zasoby, ziścił ostateczny postęp duchowy, o jakim wielu marzy, lecz w który mało kto nateraz prawdziwie wierzy. Wówczas może ludzie przestaliby się bawić błyskotkami i zaczęliby żyć całą pełnią świadomości o istotnych potrzebach swoich i bliźnich. Produkcya chleba, odzieży i innych artykułów niezbędnej potrzeby na pierwszym w tedy będzie planie. Zbywające od niej ręce, pójdą dalej szukać pracy, tworzyć będą przedmioty drugiej, trzeciej potrzeby, i tak w nieskończoność, aż zaopatrzą wszystkich we wszystko.

Dziś do tego jeszcze daleko, są to czasy próby. Systematycznego podziału pracy niema i jest nawet niemożliwy, przy tak różnym stopniu oświaty, przy tylu zmiennych potrzebach, przy tak gorącej wyobraźni ludów i ludzi pojedynczych, która skłania ich szukać raczej pozornego piękna, jak rzetelnego dobra.

Nie dziwny się przeto, że tak wielu znajdujemy zwolenników nowości. Jest to właśnie postęp, albo raczej próba postępu, który nie zna spoczynku. To co wielu nazywa zbytkiem, jest tylko próbą użycia, a jeśli się wzmaga ilość zbytkujących w tém znaczeniu, to właśnie jest dowodem, że nie jednostki, nie kasty, lecz ogół zaczyna brać udział w postępie. Ogół próbuje i ogół korzysta, a jeśli jednostki marnują na to niekiedy szczupłe swoje mienie, należy im bezwątpienia zalecać więcej umiarkowania, lecz nie godzi się odsuwać ich zupełnie od odmładniającego źródła, które nazywamy postępiem. Wszakże niech ten tylko używa, kto pracuje; bo według najrzetelniejszych zasad ekonomiki, ten jest najistotniejszym marnotrawcą, kto czas marnuje, ten jest zbytnikiem, kto ma czasu do zbytku.

Umilkł mój towarzysz, a ja, znużony natłokiem myśli, pożegnałem go i pobiegłem do domu rozważać, o ile sprawiedliwe były jego uwagi.

Z. Morski.

PIĘRWSZA PACYENTKA.

Kartki z powieści p. n. „Poniewczasie“

przez

Władysława S.

(Dalszy ciąg).

— Ja go się nie o to pytałem.

— Więc pan twierdzisz, że wam doktorom monotonne uderzenia pulsu na rozmaite kwestye odpowiadać mogą? odrzekła Marynia. Jaka szkoda, że tutaj niema ojca, miałby nowy argument przeciwko medycynie dzisiejszej.

— Najniezawodniej pani, bronił się medyk, wskazówki tym sposobem otrzymane mogą być bardzo rozmaite.

— Czy nie żartujesz pan sobie z parafianki, której się zdaje że wasza cała rozmowa z pulsem ogranicza się do pytania: „Powiedz mi, panie pulsie, czy mój pacjent zdrow, czy chory?“ na co pan puls odpowiada „tak“ czasami „nie“, a najczęściej podobno: „nie znam się na tém, panie konsyliarzu,“ i nic innego nigdy odpowiedzieć nie może.

— Niema innego lekarstwa na niewiarę, jak oczywistość, rzekł doktor; więc kiedy mi pani nie wierzy, pozwól przekonać się dotykalnie, iż uderzenia pulsu dają czasami odpowiedzi na wcale inne pytania.

— I ja te odpowiedzi usłyszę, zobaczę, uczuję, albo zrozumieję?

— Tak pani.

— Ależ to będzie coś niesłychanego, coś okropnego może?

— Rzecz najprostsza, najłatwiejsza i najniewinniejsza w świecie.

— Nie uwierzę, aż zobaczę, odpowiedziała Marynia, i od téj chwili cała zmieniam się w ciekawość. Ludwik spojrział na cudne dziewczę, pragnąc zo-

baczyć tę metamorfozę, i uznał, że pacjentka bynajmniej na nią nie straciła.

Młody medyk zabrał się do demonstracji fizyologicznej z całą powagą doświadczonego Eskulapa. Położył na stole swój zegarek wskazujący sekundy i tak rozpoczął:

— Przedewszystkiemu ma pani słuszość, że puls trzy tylko odpowiedzi dać może. Jeżeli po zadaniu pytania bieg jego się przyspiesza, to znaczy odpowiedź twierdząca, jeżeli wolniej, odpowiedź przeczącą, jeżeli różnica niewyraźna, odpowiedź niestanowczą. Jakiegokolwiek kwestye zadawać mu będziemy, na każdą w jeden z tych z trzech sposobów odpowie; ale trzeba koniecznie, żeby te pytania żywo obchodziły osobę której są zadane.

— Tyle jest słów teorii na niedzielę dzisiejszą, zakończyła figlarnie, naśladując powagę doktora, Marynia, której ze skupioną odwagą wysłuchawszy, mamy prawo przystąpić do części praktycznej.

— A teraz, rzekł Ludwik, kładąc rękę na stole, oto mój puls. Chciój pani liczyć uderzenia i zauważyć sekundy.

— A może lepiej będzie porównać go z tempem muzycznym? zauważyła Marynia.

— Doskonale, rzekł doktor.

Marynia lekko dotknęła rączką ręki Ludwika i uderzenia serca jego liczyła.

Doktor nie patrzył na nią, ani na drobną rączkę, co jego ręki dotykała, i całą siłą męzkiej woli starał się myśl swą skupić w naukowej stronie doświadczenia.

Udało mu się.

— *Andante maestoso*, zdecydowała śmiejąc się Marynia, zupełnie jak na poważnego doktora przystało.

— A teraz, mówił Ludwik, zadaję pulsowi mojemu pytanie, które wkrótce pani będzie wiadome....

— Zaraz wiedzieć nie mogę? dopominała się pacjentka.

— Niepodobna, odrzekł stanowczo medyk. Chciój pani zobaczyć, jaką puls udzieli odpowiedź.

I znów drobne paluszki Maryni dotknęły ręki doktora, który tą razą patrzył wprost na swoją pacjentkę i o żadnych naukowych rzeczach nie myślał.

— *Allegro vivace!* zawołała, to znaczy odpowiedź twierdząca. No, a teraz, jakie było pytanie?...

— Za pozwoleniem, odpowiedział doktor; nim je powiem, muszę pani dać dowód że odpowiedzi jakie otrzymujemy są takie a nie inne właśnie dlatego, że pytanie było takie a nie inne. Na własnej ręce okazać tego niepodobna, więc proszę o rączkę pani.

Czegóż bo to nie dokaże ciekawość?... Marynia ani pomyślała, że ręki odmówićby mogła.

Doktor dotknął jej pulsu i rzekł po chwili:

— *Allegretto*, wszak prawda, pani?

— W istocie, odpowiedziała Marynia, i to pewno dlatego ojciec tak często psotą mnie nazywa....

— A teraz proszę uważać, zadaję pulsowi pani toż samo pytanie, na jakie mój już odpowiedział.

Marynia, naprawdę przemieniona w uosobienie ciekawości, nie mówiła.

Ludwik, trzymając jej rękę i patrząc jej w oczy, pytał powoli:

— Powiedz więc pulsie, czy to serce którego jesteś tłumaczem, chciałoby dla mnie bić na wieki?

Ledwie doktor dokończył tych wyrazów, Marynia spostrzegła się, że jej puls niedyskretny w istocie *presto appassionato* bić zaczyna i karminowym oblana rumieńcem, pospiesznie cofnęła rękę.

— Odpowiedź była twierdząca, rzekł Ludwik uszczęśliwiony.

Marynia milczała.

— Serce nie kłamie.... moje nie kłamało.... trzebażby twoje posadzać, Maryo?

— Nie, ledwie dosłyszczanym szeptem odpowiedziała Marynia.

Żaden kochanek nie miał nigdy powodu być tak z przeczącą odpowiedzi szczęśliwym. Ludwik padłby zapewne na kolana, albo conajmniej niedyskretną rączkę Maryni do ustby rozpalonych przycisnął, gdyby w tej chwili nie dało się słyszeć po za nim następujące, wcale nie w porę zadane pytanie:

— A wezwałeś też, panie konsyliarzu, cyru-

lika Wargawę, żeby ci składał raporta tygodniowe *ad rem*?

Był to, jak łatwo zgadnąć, pan Jan Dziec, który wchodził z Adasiem, i naturalnie chciał się choć z *grubego* przekonać, czy kontrole i wykazy urzędnika służby zdrowia były w należyłym porządku.

Ludwik chciał odpowiedzieć, i to odpowiedzieć twierdząco, ale jego wyobraźnia, zaprzęgnięta w tej chwili wcale innymi przedmiotami, nie mogła na żaden sposób rozwiązać tej kwestyi: o czym też cyrulik Wargawa mógłby składać raporta jemu, doktorowi miejskiemu?

Bohater nasz zająknął się więc tylko:

— Raporta.... to jest... tygodniowe.... panie pocztalterze?...

— No jakże, mówił pan Dziec, o ilości postawionych pijawek, baniek suchych i krwawych, wyrwanych zębów, puszczonęj krwi i ogołonych bród.... choć to ostatnie zresztą może *ad rem* nie należy.

Adaś, który we wszystkiemu szczerze i sumiennie postanowił sekundować doktorowi, zakręcił się koło niego i szepnął mu cichutko:

— Wargawa nie umie pisać.

Dość tego było dla naszego medyka, któremu cała przytomność i dowcip powróciły nareszcie, i odpowiedział bez dalszego namysłu:

— Właśnie myślałem, panie pocztalterze, zasięgnąć pańskiej rady, co do sposobu rozciągnięcia kontroli nad tą gałęzią służby zdrowia, której ważność jest mi znana. Napotkałem w tej mierze dwie trudności: najprzód cyrulik Wargawa, jako człowiek niepiśmienny....

— Można przyjąć kancelistę *ad rem*, przerwał pan Dziec, bo obowiązek służby przedewszystkiemu... A wreszcie, albo to karbowi umieją pisać, a przecież składają raporta.... Niech karbuje panie na kiju!...

— W istocie, temu zaradzićby można, odpowiedział Ludwik; jest jednak druga i ważniejsza trudność, a mianowicie: że jeśli te raporta mają być użyteczne, potrzeba aby były sumienne, gdy tymczasem Wargawa, wezwany do ich składania, będzie myślał, jak zwykle ludzie nieoświeceni gdy idzie o wykazy statystyczne, że rząd zamierza opodatkować bańki, pijawki, krew albo golone brody, i nie będzie podawał cyfr rzetelnych, aby uniknąć wielkiego podatku. Należy więc przedewszystkiemu znaleźć sposób skłonienia Wargawy do podawania wykazów sumiennych, i w tej mierze rady pana pocztaltera zasięgnąć zamierzylem.

Adaś, mimo świeżej boleści, która mu serce krwawiła, mało się nie udusił z tłumionego śmiechu, a któż tam wie, czy i *psota*-Marynia także się w duszy nie śmiała.

— A toś mi, panie, wbił klina *ad rem*, odpowiedział pan Dziec; dobry z ciebie urzędnik, i gdybyś był w mém biurze, pyszniłbym się z ciebie. Nie-szczęściem żadna posada odpowiednia nie wakuje, bo nominowałbym cię natychmiast.

Pan Dziec nie domyślał się wcale, że w jego pocztalteryi wakowała bardzo ważna posada, o którą młody doktor szczerze konkurować zamyślał.

— Co do twojej trudności, mówił dalej pocztalter, pomyśl o niej panie, pogadamy. Masz rację, panie, masz rację i wyśmienicie *ad rem* wszystko przewidziałeś. Cenię cię za to, panie konsyliarzu.

Ludwik widział, że furtką niewinnego kłamstwa wy dostał się za obręb przedzeń pocztaltera przeciw doktorom i wyszedł na drogę, która prosto do serca pana Dzieca prowadziła. Szczęśliwy tym spostrzeżeniem, nie myślał wcale cofać się z tej drogi.

Rozpoczęła się rozmowa ogólniejsza, w której tylko Adaś nie brał udziału.

Korzystając z kuzynowskiej zażyłości, która mu pewne prawa w domu pocztaltera dawała, młody poeta kręcił się ciągle po pokoju, wychodził i znowu powracał do bawialni, zakradał się do rozmaitych części mieszkania, widocznie jakby szukał czegoś, bo się często oglądał, czy go nikt nie widzi; i w istocie, robił to tak zręcznie, że nie domyślano się niczego.

Poszukiwania jednak były bezskuteczne.

Po godzinie może takich szperań wpadł na myśl szczęśliwą.

— Musi być w jej pokoju, mówił do siebie, ale jak się tam dostać?... Drzwi zamknięte, skrzypieć będą, a przytém ciemno.

Wybiegł do kuchni, zamawiając się o coś, i kręcił się dopóty, dopóki kilku zapalek nie zdefraudował.

Wróciwszy do mieszkania, skradał się jak kot do pokoiku Maryni, z niesłychaną ostrożnością otworzył drzwi, wszedł, posłuchał czy nikt nie idzie, wreszcie zapalił zapalną i wszędzie patrzył uważnie.

Zapalka, poparzyła mu palce,—nie nie zobaczył.

Zapalił drugą, szukał jeszcze pilniej i na stoliku spostrzegł coś bielącego się.

Przy trzeciej dopiero zapalkę i po powtórnym sparzeniu, znalazł chusteczkę Maryni, przejrzał ją prędko, dostrzegł bladą plamę czerwoną, przycisnął do piersi ten skarb, zapiął się pod szyję, i równie cicho, równie ostrożnie wyszedł, lecz nie powrócił do bawialnego pokoju, tylko prosto pobiegł do siebie.

— Serceby mi pękło gdybym tam został, mówił do siebie, kiedy on, Ludwik, zapewne zacznie działać w myśli jaką mu natchnąłem...

Tymczasem w bawialni doktor zdobywał niezbyt warowne zresztą serce pana Dzieca. Wiodło mu się wybornie; zda się z oczu Maryni płynęły w jego usta słowa, które zacnego starca coraz mu bardziej jednały. Zrobił sobie opinią urzędnika, a opinią człowieka miał nieskazitelną. Z panem Dziecem te dwa warunki były dostateczne. Ludwik zrobił wszystko.

Marynia przez cały wieczór ani razu nie zakasłała. Rumieniec i wesołość nie opuszczały jej na chwilę.

Około dziesiątej doktor wybierać się począł.

— No cóż tak spieszysz się? *ad rem*, rzekł pan Dziec, zostań jeszcze, panie Ludwiku.... niezdrowo wcześniej chodzić spać.

— Lipowy kwiat i poty, panie pocztalterze...

— Przebaczenie, konsyliarzu, ogólne przebaczenie, odpowiedział wesoło pan Jan. Poprawiła się psota i nie zakasłała ani razu.... a takie to rumiane jak wiśnia... Przebaczenie, panie.

— Więc ogólne przebaczenie, panie pocztalterze, rzekł Ludwik, a zatem i ja także mogę z niego korzystać?

— A cóżes ty przewinił, doktorze, *ad rem*? Dobry urzędnik i znak nieskazitelnej służby, a nie przebaczenie ciebie czeka.

— Ja przewiniłem bardzo, panie pocztalterze, odrzekł poważnie doktor, stając przed panem Dziecem, wszedłem w dom pański jako przyjaciel, a poważyłem się sięgnąć po twój skarb najdroższy, po serce twojej jedynaczki.... Ojcie, czy mi przebaczyć zechcesz tę zuchwałość?

Dwie łzy szczęścia zabłysły w oczach pana Jana.

— Dobryś chłopak, Ludwiku, i chętnie wstawię się za tobą *ad rem*, bo tu przebaczenie nie odemnie zależy. Jeśli ona ci przebaczy, zgoda.

I starzec spojrział z całą miłością ojca na swe dziecię.

Marynia, zarumieniona, wsunięta do kącika, ze spuszczonej oczyma, milczała.

— No, pójdź tu psota i uściskaj ojca.

Dziewczę rzuciło się starcowi w objęcia i ukryło twarz na jego piersiach.

— Więc jakże? przebaczenie *ad rem*? pytał pan Jan.

— Przebaczenie, ojcie, z cicha odpowiedziała Marynia.

Nie będziemy się silili na opisanie reszty tego wieczoru, ani myśli z jakimi Ludwik powrócił do swego mieszkania.

Nazajutrz rano, za ledwie zdążył wstać i ubrać się, zapukano do drzwi.

— Proszę, odezwał się nasz bohater.

— Był to Adaś.

— Doktorze, rzekł poeta wchodząc, przynoszę ci rzecz ważną, która ci dowiedzie, że nawet jeszcze teraz Adaś na coś przydać się potrafi. Wszak to niemało znaczy w takim razie mózgu naukowo zebrać krew chorą?

— W istocie, odpowiedział medyk, wskazówki mogą być ważne.

— A więc masz.

To mówiąc, Adaś wyjął chusteczkę Maryni i z poszanowaniem należnym rozłożył ją przed doktorem.

(Dokończenie nastąpi.)